Nr. 1. Lwów, dnia 15. stycznia 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 zlr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

W noc noworoczną.

Noc głęboka, bezbrzeżna, bezludna. Niebo i ziemia zbliżyły się do siebie biczami śnieżnej zamieci. Nie jest to ciemność otchłani, lecz nie widać także światła gwiazd — cała natura, ziemia i niebo pogrążone w jakimś szarym, półmlecznym, półjasnym chaosie, który wśród dzikich poryków zda się nieść wszystkiemu ostatnią zagładę...

Skrzypią i jęczą stare drzewa puszczy, tu i owdzie odrywa się zeschła gałęź i leci w szatański taniec wichrów, a czasem odezwie się świst przeciągły, jakby smagnięcie pletni i polem, tuż nad ziemią, leci tuman za tumanem, kładąc warstwy na warstwy białego, krystalicznego pyłu. Wszystko się mąci, wszystko w ruchu, jak gdyby jakiś potężny bóg gniewu chciał zasypać to, co było, a rzucić pokłady dla nowego świata.

Życia nie widać w koło ani śladu. Na płotach chruścianych oparły się wałem białe warstwy śniegu, zręby chat grzęzną coraz głębiej z puchach zamieci -- nigdzie ni światła ni smugi dymu, któryby zdradzał, że pod temi zawianemi strzechami tli się iskra życia. Śmierć i zagłada — oto jedyne hasła, pod których sztandarem leci wściekła zamieć.

Gdzie ścieżka, a gdzie urwisko jaru, tam różnic już nie ma. Szalony duch-niwelator zmiata wszystko do jednego poziomu, dusi krzewiny jałowcu i małe smereki, a olbrzymom kniei zgina dumne korony. Co było jamą, jest pagórkiem, a co się w górę pięło, zostało z ziemią zrównane. Wielki przewrót, dzieło brutalnej siły — dopóki go słońce nie stopi...

Na brzegu kniei ukazały się trzy cienie. Pomykają szybko wzdłuż głębokiego jaru. To dalszy akt tragedyi zniszczenia — to głód, szukający ratunku w śmierci swej zdobyczy.

Przodem pomyka sarenka. Wątłemi cewkami zapada co chwila w śnieg głęboki, pisk trwogi śmiertelnej wyrywa się z jej piersi — zgłodniała, osłabiona dobywa reszty sił, aby dalszym skokiem ratować się przed zębami dwóch wilków, które ją gonią. Śnieżyca zasypuje im ślepia, przecina drogi i zdradne gotuje przepaście -- ale ich nic w pościgu nie wstrzyma -- głód, tyran najsroższy skręca im wnętrzności i zda się krzyczeć: morduj lub giń!

Już doganiają zdobycz, już rozwartemi paszczami mają ją pochwycić — gdy wtem sarneczka dobywa ostatnich, śmiertelnych wysiłków, i olbrzymim skokiem w bok rzuca się do parowu. Rozwarła się pod nią puszysta przepaść śnieżna, grzebie się biedactwo i coraz głębiej zapada, siły jej słabną, słania się na bok bez ruchu, a śnieżyca z rykiem i świstem buduje nad nią nowe białe warstwy...

Drapieżni prześladowcy przystanęli w biegu, ślepiami śnieżycą zawianemi śledzą na około, kręcą się szukając śladu, mierzą z niedowierzaniem głębokość jaru i lecą dalej wzdłuż boru, szarpani głodem i wściekłością...

Czy dogonią swą ofiarę? Czy jej przeznaczone kły wilka, czy uścisk śniegów i mrozu?

* * *

Przesiliła się szalona śnieżyca. Pokładły się wichry nad rankiem Nowego roku, zwiastując mir naturze. Rozbiegły się chmury śnieżne i odsłoniły wiecznie spokojną i wiecznie gwiazdami rozświeconą kopułę niebios. „Kosarze“ koszą tam od lat tysiąca, „kwoczka“ wodzi wiecznie swoje kurczątka, „niedźwiedź mały“ z „niedźwiedziem wielkim“ kręcą się od wieków po niebios wertepie — i nad losami ziemi, nad dolą i niedolą jej mieszkańców, uśmiecha się jednostajnie ten strop gwiazdami zasiany.

Mróz pocisnął. Warstwy śniegu, zwątlone i zmącone szaloną wichurą, uspokoiły się, stężały i w odpowiedzi na powitanie gwiazd zatliły się milionem iskier.

Poczęły wreszcie gwiazdy blednąć na wschodnim nieboskłonie, różowa smużka zapłonęła nad śnieżnemi szczytami — sine, różowe i złote promienie trysnęły wśród mgławicy pyłów śniegowych — i zabłysnął pogodny dzień zimowy po nocnych huraganach zamieci. .

Chata leśnego w głębokich tonęła śniegach, jakby zamarła i pusta. Lecz rowno ze świtem wypłynęła z niej smuga dymu, przewijającego się złotem przez promienie słońca, a potem skrzypnęły drzwi, naciskane silnie przeciw zaporze śniegowej, i z łopatą w ręku przebijał się leśny przez zaspę, torując sobie drogę od chaty ku stodółce.

— A to nawiało — mruczał stary — ledwie chaty nie rozniosło czartowskie wesele. Będzie ci tam droga po lesie, no, no!

Dobił się z biedą do stodółki, uchylił wrota, znowu śnieg odwalił, i jął ładować siano na małe, ręczne saneczki. Nawiązał w górę co mógł, ścisnął powrósłami, opasał krótki kożuch, baranią kuczmę nacisnął na czoło, a przerzuciwszy przez ramię parcianą uździenicę, pociągnął za sobą saneczki i ruszył w głąb lasu.

Las nieruchomy, głuchy, zdawał się odpoczywać bezwładnie, jak człowiek po gwałtownych wybuchach namiętności. Połamane konary, pokręcone zaspy świadczyły jeszcze o tem, co się tu w nocy działo - ale znowu był mir z przyrodą i drzewa wyciągały skostniałe ramiona ku promieniom słońca, aby się ogrzać i odżyć.

Stary leśny dojeżdżał do tryzubów, urządzonych na zboczach południowych w zacisznych ustroniach kniei, i odgarnąwszy śnieg gdzie było potrzeba, zakładał paszę dla zwierzyny. Tu i owdzie, cichutko, jakby chodem duchów, zbliżały się gromadki sarn po pierzastej pościeli śniegu. Nadstawiwszy łyżki, śledziły czarnemi jak tarki oczyma z pomiędzy drzew, co stary robi, a gdy się oddalił, ciągnąc swe saneczki, podchodziły do tryzuba, aby skubać zieloną koniczynkę. One znają starego Wojciecha, czują, że je lubi, wiedzą, kiedy przywiezie siana do lasu, i tak się za nim patrzą długo, gdy stanowiska tryzubów objeżdża...

Ten stary łagodzi wszystko, czem sroga natura dokucza zwierzynie; on umie sporządzić lizawki pokrzepiające, on przerębuje płonki na wodach leśnych, aby biedactwo nie potrzebowało biegać do dalekich potoków dla pojenia, on pamięta, aby tryzuby nie były próżne. on wykurza w lecie lisie jamy, ściąga z pojedynki jastrzębie i krogulce z pod błękitu, chodzi po śniegu za tropami kuny i żbika.

Ot, i w tej chwili zatrzymał się i siwe oczy wlepił w trop zawiany, który tu i owdzie zdradzał nocną tragedyę, wskazując pościg wilków za sarenką.

Zboczył stary Wojciech z drogi, zostawił saneczki pod drzewem i puścił się za niewyraźnemi śladami wzdłuż lasu. Kręcił głową, gdy przyszedł w miejsce, gdzie tropy się zmąciły, i z pod świeżego nasypu widniał śnieg zdeptany, a nigdzie żadnych szczątków, ani śladu farby. Rzucił w bok oczyma i rzecz zrozumiał. Nastąpiło tedy ostrożne spuszczanie się w głąb jaru, brnął po pas w śniegu, sle nie spoczął, póki nie dotarł do miejsca, gdzie leżała zagrzebana sarenka. Zbite z tropu wilki nie doszły jej wśród wściekłych huraganów zamieci, ale wycieńczona sarenka nie miała już dość sił, ażeby się ze zaspy śnieżnej wydobyć. Na pół skostniała czekała cichutko, aż ją śmierć zabierze.

Lecz nie przyszła śmierć — przyszedł stary Wojciech. strwożoną i ostatkiem sił broniącą się sarenkę wziął na ramiona, owinął kawałem werety, położył na saneczki i zawiózł do chaty. Tu zaniósł ją do stodółki, położył na wonnem sianie, a powróciwszy jej życie i siły, otworzył wrota na wolność — do lasu.

Czy miał taki przepis? Czy mu tak kazano?

Nie. W tem prostem sercu człowieka, wzrosłego wśród wolnej przyrody, wiązała się każda dola i niedola ze wszystkiem, co w około żyło. Cieszył się radością zwierząt, wesołym świegotem ptasząt, igraniem młodych sysaków — a odczuwał bole i rozpacze tam, gdzie inny nic nie widział. Chwalił Boga tem, że bronił słabych przed drapieżnością mocnych — dobroci szukał i dobrocią płacił — bratem był człowiekowi i zwierzęciu, bo czuł się instynktowo ogniwem w tej naturze, która wszelkie twory wiąże w jeden harmonijny łańcuch...

* * *

Stary Wojciech rozpoczął Nowy rok dobrze. W swoim zakresie niósł pomoc słabym, chronił ich od srogości ślepych żywiołów i od przemocy silniejszych. W umyśle jego, jak w popiele ogniska, drzemała ta sama iskra wielkich cywilizacyjnych przeczuć, która świeciła w umysłach owych prastarych plemion aryjskich, co to umiały z dzikich zwierząt uczynić przyjaciół domu i rodzin, co to w pokochaniu przyrody znalazły niewyczerpane źródło dobra piękna i cnoty.

Co mu tam zdobycze wieku, i ta cała błyszcząca cywilizacya, która umie rozpętać najdziksze chucie, lecz nie zdolna je koić? Co mu tam ten postęp, który po karkach uciśnionych, po rozdartych sercach i zawiedzionych nadziejach leci na oślep w przyszłość i pozwala królować sile przed prawem?

Stary Wojciech nie rozumuje — po za swą knieją nie pożąda świata — pracą zdobywa sobie prawo do życia i wszelkiemu stworzeniu do prawa tego dopomaga...

Ot, i teraz jest mu dobrze. Siadł przy ognisku, splótł ręce na kolanach i szepce: „Bądź wola Twoja“...

St.

ZAKONNIK LEŚNY.

Skreślił
WŁADYSŁAW SPAUSTA.

Głuszec przedhistoryczny. — Głuszec w dziejach łowiectwa polskiego. — Pośrednie przyczyny zatraty; statystyka łowów głuszcowych. — Nazwy miejscowe. — Anatomiczna przyczyna głuchoty głuszca. — Zwierzostany głuszcowe w chwili obecnej. — Skrzekot. — Obraz igrzyska.

Mnóstwo głuszców bądź w rozmaitych porach igrzyskowych, bądź jako trofea, ozdabiało piękny pawilon łowiectwa na ostatniej naszej Wystawie we Lwowie. Czyżby łowy na tego szlachetnego ptaka były u nas rzeczą tak zwykłą? Czyżby mnogość tej zwierzyny po naszych kniejach podawała ogółowi myśliwych sposobność i prawo do zatknięcia zielonej gałązki na łowiecki kapelusz?

Niestety, wiadomo nam, że tak nie jest. Żyje w naszym kraju mnóstwo myśliwych wytrawnych, którzy w całem swojem życiu nie mieli sposobności oglądać głuszca w naturze, a żyją także namiętni strzelcy, którzy znów mając sposobność strzelania głuszców, przenieśli spoczynek w porze gry głuszcowej, nad mozolne łowy. Mała tylko cząstka z przerzedzających się coraz bardziej szeregów Nimroda, odczuwając w duszy myśliwskiej szlachetne zapały i posiadając realne warunki do poszukania niezwykłych u nas wrażeń, pospieszyła z całą gotowością, aby swą dobrze zasłużoną trofea ozdobić pawilon naszego łowiectwa.

Wam przeto, niemniej i tym wszystkim polskim myśliwym, którym los głuszca tak dla łowcy ponętnego szczerze leży na sercu, niosę te skromne wspomnienia o głuszcu. Niech one będą nie według swej wartości, ale według serdecznych chęci ocenione jako hołd dla tej łowieckiej naszej *Casta-divy*, w której czarownych przybytkach, po ciężkich znojach, spełnić nam wypada i skromną z życia ofiarę.

*

* *

Łowy na głuszce praktykowane już były w przedhistorycznych czasach Europy. Największy i najpokaźniejszy ptak lasów i puszcz, musiał na siebie zwrócić uwagę ledwie z kolebki wyszłej ludzkości, a poświadczają to resztki głuszców z tych czasów, o których nam dzieje nic nie umieją powiedzieć. W t. zw. odpadkach kuchennych w Danii, znaleziono między innemi także i kości głuszcza, z czego znów uczony Karol Vogt do oryginalnego dochodzi wniosku *(Vorlesungen über den Menschen)*. „Udowadnia to — mówi on — że społeczeństwo, od którego odpady te pochodzą, żyło w Danii w czasach panowania lasów świerkowych, i że od tego czasu po przeminięciu dąbrów, których ślady jeszcze się w lasach znachodzą, nastąpiła epoka zapanowania buczyny“. Argument ten, jak wiele innych, mający niby to poprzeć teoryę szybko po sobie następujących kolei płodozmianu naturalnego lasów, osłabia ją, bo jest nieprawdziwy, gdyż lasy świerkowe nie są charakterystycznem siedliskiem głuszców; przeciwnie, jestto obywatel wielkich obszernych kniei mięszanych, a wyjątkowo przebywa i w kniejach liściastych, o czem pouczyćby mogły uczonego fizyologa znakomite zwierzostany głuszców w jego własnej ojczyźnie, a mianowicie w Bernburgskich lasach bukowych. Również i rzeźba geologiczna siedliska niewiele wpływała ongi na rozsiedlenie się zwierzostanu głuszców, a jeżeli w naszych czasach wyniósł się on przeważnie w góry, to z pewnością nie dla pięknego widoku, lecz z innych a całkiem zrozumiałych powodów. Miłośnik ciszy lasów pierwotnych, wyniósł się przed zgiełkiem i wrzawą kulturną, jaka w biegu lat wdzierała się coraz to dalej w głąb puszcz i kniei na żyznych równinach, a resztki tego ptactwa w podmokłych, od natury skąpo uposażonych kniejach na równinie, dowodzą aż nadto, że górzyste siedliska są w czasach naszych tylko nieuniknionym dla głuszca azylem.

Podobnie jak w całej lesistej, północnej i środkowej Europie, tak też i u nas był głuszec niegdyś zjawiskiem dość pospolitem; wszędzie był znanym i popularnym, co poświadczają rozmaite jego lokalne nazwy — wreszcie tradycye w miejscach, gdzie go dawno już zabrakło. Przed wprowadzeniem broni palnej do myśliwstwa, łowiono go u nas na rozmaitego rodzaju pułapki, prężyny, ponóża, siecie, a w czasach, w których łowiectwo takie praktykowane było z wielką namiętnością przez każdego niemal mieszkańca puszczy, gdzie łowiono najdrobniejsze ptaszęta, na które nikt już dziś uwagi nie zwraca, wspaniałych rozmiarów głuszec stanowić musiał *great attraction*, ku niemu też zwracał się wyskok sprytu i przebiegłości myśliwego. Temu to, a niemniej i naturalnym właściwościom głuszca przypisać należy, że ptak ten, prześladowany szatańskiemi pomysły ówczesnego łowiectwa ptasiego, niezgodliwy, przesiadujący wielką część roku na ziemi, niedołężny w porze raptownego wypierzenia, paprzący się (gnieżdżący się) na ziemi — co wszystko drapieżnikowi zdobycz ułatwiało — nigdzie do wielkiej nie mógł dojść rozmnoży.

Jednak łowy o jakich wspomniałem, jakkolwiek utrzymały się u nas w późne czasy jako spuścizna zamierzchłych wieków ludzkości, nie leżały w zakresie gustów tych klas, które z ogromnym sumptem uprawiały łowiectwo kniejowe na grubego zwierza puszczy, używając wszelkich ówczesnych sposobów łowieckich, zastępujących braki broni. Było to łowiectwo specyalne drobnej, wśród puszcz rozsiadłej szlachty i chłopstwa, usamowolnion go do pewnego stopnia w miejscowościach wielkich łowów, którym częstokroć osobne przywileje dawały wolność łowiectwa ptaszego. Zazwyczaj wszelkie nadania dóbr wyłączały z pośród innych także i łowy z sokołem, jak to świadczą metryki koronne, w Litwie zaś, aż do czasów Zygmunta Augusta, przy wszelkich nadaniach dodawano w przywilejach: „z łowy zweryennymi i ptasznymi“.

Że głuszec nie należał do zwierzyny książęcej, tego mamy dowody w najstarszych dokumentach; nie należał on podobnie jak wszelkie inne ptactwo z wyjątkiem sokołów i łabędzi, których strzegły od poczęcia osobne prawa. Dokumenta despotycznych książąt mazowieckich nadają dobra „cum aucupationibus omnium avium, falconibus exceptis“, (Akta maz. 1436.), statut zaś litewski we wszystkich trzech wydaniach, a mianowicie w 1 wyd. Rozdz. XIII. art. VIII. powiada: „ktokolwiek gniazdo sokole lub łabędzie rozrzuci i t. d.... karanym będzie“.

Szczęśliwi uprzywilejowani nie przykładali jednak zbyt wielkiej wagi do łowiectwa ptaszego, a gustów i zamiłowań

wieków minionych, żadne rozumowania nie wytłumaczą tak dobitnie, jak żywe słowo współczesnych: „Pan, który chce żyć, ma mieć myśliwca na kuropatwę, cietrzewia, żórawia, gęś i innego ptaka, bo tego rzadko na targu kupi“. Wobec namiętnej uprawy łowów na grubego zwierza, w czasach, gdy pan tylko wtedy wołu zabijał, gdy łosia nie dostał, widocznie panom naszym XVI. wieku nieznanym był zupełnie powab łowów ptaszych, jak stwierdzają naprowadzone słowa wojewody Anzelma Gostomskiego („Gospodarstwo“ r. 1588. str. 90.). Ptak przedstawiał tylko interes kulinarny, i najszlachetniejszego ptactwa dostarczać miał płatny myśliwy, „bo tego rzadko na targu kupi“.

Podczas gdy tak zapatruje się na łowiectwo ptasze wielki dostojnik koronny, który i zająca uznaje za „dobrego na misę, ale to sprośna, kto go sam szuka, mając co innego do czynienia“ — widocznie zatem, gospodarz a nie myśliwy — współczesny temuż niemniejszy dostojnik koronny, namiętny myśliwy, wojewoda Poznański, Jan hr. z Ostrorogu, który „zgoła tego za człowieka niema, kto o myśliwstwie lada jako rozumie“, poświęciwszy w swych dziełach wiele miejsca wychowie i hygienie psów do myśliwstwa kniejowego, opisawszy w obszernym traktacie sztukę użycia rogu myśliwskiego, ani słówkiem nie wspomina o łowiectwie ptaszem.

Inaczej zapatruje się na łowy ptasze autor „Myśliwstwa ptaszego“, domniemany szlachcic Cygański Mateusz. Ten stary nasz ornitolog-myśliwy, którego dziełko, często naiwnym i niezrozumiałym napisane stylem, jest istną perłą pod względem znawstwa zawodowego — który łowi, wszystko, co tylko po nad polską ziemią lata, począwszy od zaskórnika (Cynthia), — poświęca i głuszcowi kilka wierszy, rozpoczynając swym zwyczajem artykuł ten rymowaną archaicznej woni zwrotką:

Zakonnik leśny, głuszec, przy lesie
Mieszkawam, oto myśliwiec mnie niesie,
Wysiedzieć w pustych bagnach się nie mogę,
Któż lepszą niż człowiek może mieć ostrogę?“.

Bóg tam raczy zrozumieć ten sentyment autora, który doskonale znał głuszca i łowił go: „sidłami rozmaitemi pod igrzyskiem, stawiał ponoże albo prężyny i inne tym podobne przyprawy“. O użyciu broni palnej wcale nie wspomina, jednak znanem mu jest doskonale podchodzenie czyli „podskakiwanie“ pod grającego głuszca: „idź przededniem, a słuchay gdzieby ptacy grali, a gdy usłyszysz dwu albo trzech, albo też y więcey, tedy słuchay któryby na stronie grał, a tam do tego się obróć, bo skacząc inszebyś popłoszył, a słuchay, kiedy już odegra, tedy nazad skrzypi nosem, a natenraz skocz trzy razy, co możesz naydaley, bo tedy ani słyszy ani widzi, tylko w górę nos podniesie, a potem się nie ruszay, aż zagra; gdy ledwuchna zaspiewa, tedy on najczęściey gra“. Czy podchodził on pod głuszca, aby pociągnąć za sznur sieci, czyli też miał jaką rusznicę, tego nie wiem. Cała scena gry lakonicznie i całkiem oryginalnie opowiedziana, zawiera prawie wszystko, co powiedzieć należało, a niemal tych samych reguł podchodzenia głuszca na igrzysku, reguł z zamierzchłej przeszłości, trzymają się i obecni myśliwi, jeno nie każdy zwraca uwagę na ten zegar natury, który był tak dobrze znany autorowi XVI. w. „Ledwuchną“ zwie on skowronka borowego (*Alauda arborea*), który również znanym jest miejscowo pod mianami suliszki, filuszki, wygońki, lerki, firleja itd. i który wdzięcznym tryllowym swym głosem odzywa się gdy świta.

Zatrzymałem w nagłówku mej pracy nazwę, nadaną głuszcowi przez autora „Myślistwa ptaszego“, jako miłą pamiątkę po tym prostodusznym szlachcicu „nie umiejącym pisma żadnego.“ Dowcipny ten analfabeta wypowiadał w swych lakonicznych dyktatach wiele prawdy, porównując swe bystre spostrzeżenia przyrodnicze ze stosunkami ludzkiemi. Głuszec to rzeczywiście „Zakonnik leśny“ pod względem wszelkich szczegółów swego życia — a jeżeli zachodzą tam jakieś braki w porównaniu — „*si non castus, semper cautus*“ — co jak sądzę wielkiej znów różnicy nie stanowi. —

Aż do czasów użycia broni palnej w łowiectwie, która nawiasem mówiąc, o wiele później została wprowadzoną w łowiectwie niż w boju, już dlatego, że pierwotna ciężka i niezgrabna broń palna wcale się do celnych strzałów nie nadawała, głuszec, jako wyłącznie ptak leśny, nawet dla sokolich łowów musiał pozostać obojętnym; historyczne zaś łowiectwo nasze z psiarnią i obławą, nie będąc bezpośrednio niebezpieczne dla zwierzostanów głuszcowych, pośrednio spowodowało przecież zatratę głuszców w wielu kniejach, niepokojonych wten sposób.

Z biegiem lat, gdy szczuplały bory, gdy ogromne obszary zwartych lasów przerwały rolnicze kolonie, eksterminacya głuszca musiała postępować raźniej, a w chwili, gdy obudzony już w nowszych czasach zapał do łowów na igrzyska nauczył należycie cenić te zwierzostany — już było za późno, już należał głuszec w wielu pasmach kraju do gatunków zatraconych, i trzeba było dalekie odbywać wędrówki po niezwykłe wrażenia łowów głuszcowych. A szkoda, bo trzeba nam coraz więcej głuszców, potrzeba nam coraz więcej romantyki łowieckiej i przeczystych zdrojów natury na umysły, skołatane pracą i bezdusznym realizmem światowym... Niestety, cenne te źróďła zrzadka już tylko uderzają na naszej ziemi, a jeżeli nie otoczymy ich szczególniejszą opieką, to do reszty się wysączą. Z każdym rokiem wdziera się zgiełk kultury coraz to głębiej i w te już tak zacieśnione dziedziny głuszca, pod wpływem lepszych konjunktur handlowych pożerają piły gęstwę puszcz górskich, odwieczną ciszę jarów górskich kłóci głuche uderzenie świdra naftowego i rozlega się hałas gorączkowy tych, co wyczekują błogiej chwili, gdy z wnętrzności ziemi tryśnie źródło ukrytych bogactw. Kędy do niedawna jeszcze tylko myś się przechadzał, wiją się żelazne szyny, świszczą parowozy, i dudni ziemia pod ich brzemieniem. Wszystko to nie przyczynia się bynajmniej do uprzyjemnienia życia „czarnego a szarego pióra“ zakonników leśnych w ich ostatnich na ziemi naszej siedliskach.

Jednak kraje alpejskie i racyonalnie prowadzone gospodarstwo łowieckie w krajach czeskich udowadniają poniekąd, że szlachetny głuszec nietylko że daje się utrzymać w stosunkach intenzywnej kultury kraju, ale co więcej, mnoży się w sposób bardzo pocieszający, i jedynie tam zatraca się zupełnie, gdzie obok połowicznej kultury w ogóle panują w gospodarstwie łowieckiem zupełnie prymitywne stosunki. Jeżeli w objętych kulturą siedliskach głuszca nie zapanuje pod każdym względem racyonalna ochrona, jeżeli pastuchy i ich psy będą dalej włóczyć się po kniejach, dybiąc łakomie za materyałem na jajecznicę z „jendorów dzikich“ — jakto sprawdził i opisał ś. p. hr. K. Wodzicki — jeżeli ustawa dalej chronić będzie lisa a myśliwi wyczekiwać z wytępieniem tego drapieżcy, aż się przebierze miarka jego grzechów i piękne futerko łowy opłaci — jeżeli nie stanie się rzeczą ogólną tępienie wszystkiemi sposoby drapieżników powietrznych, *semper ubique et ab omnibus* — no, to zginęliście szlachetni zakonnicy leśni, przepadliście na ziemiach naszych, a łowy, jakie się jeszcze podziśdzień na was pra-

ktykują, w takich stosunkach przybliżają tylko chwilę ostatecznej zagłady waszej!

Myśliwy, który nie ponosi ciężarów zawodu, który nie dochodzi po ciernistej drodze mozolnej ochrony do świetnych zwierzostanów, ten i prawa niema do rozkoszy, jaką dają w przelotnej chwili łowy na igrzyskach głuszcowych. Stary myśliwy Döbel, jeszcze przed 100 laty w swem dziele *„Jäger-praktika“* wyspiewał łowom głuszcowym wiernopoddańczy hymm, sławiąc je jako jedynie przysługujące „Landesherrom“ w zamian za ich trudy około rządów. Otóż po stu latach zawołam i ja za wiernopoddańczym germanizmem: „Zdala stójcie poddani!“ z tą tylko odmianą, że żądać będę, aby piękna bogini lasów przeczystą swą rączką dawała tylko temu gałązkę zieloną, kto ją dobrze zasłużył. Strzelanie głuszców na igrzysku tylko wtenczas nie będzie szkodliwem wdzieraniem się w prawa przyrody, jeżeli łowiec ofiarę myśliwskiej namiętności okupi walką z drapieżnikiem i wogóle z wszelkim wrogim dla łowiectwa żywiołem. W takim stanie rzeczy powabne łowy na igrzysku nietylko nie będą szkodliwe dla przyszłości, ale co więcej, racyonalne od strzeliwanie starych, zbyt wojowniczego usposobienienia kogutów, może korzystnie wpływać na rozmnożę.

W wolnej naturze, nietylko u ptaków żyjąch w monogamii, ale także i u polygamistów, do których głuszec należy, przeważa płeć męska, u pierwszych liczebnie, u drugich jeżeli nie liczebnie, to fizyologicznie, zato też jest i na większe niebezpieczeństwa narażoną, a zbytek w tym kierunku usuwa albo drapieżnik, albo walka doboru płciowego. Bardziej w oczy wpadające upierzenie samców zwraca na nie uwagę drapieżników, podczas gdy upierzenie kury, zbliżające głuszycę do barwy ziemi leśnej, chroni ją przed wzrokiem nieprzyjaciela. Że wpadające w oko upierzenie ptaka jest dla niego fatalnem, dowodzi n. p. zatrata rychła wyjątkowo zabarwionych egzemplarzy, w szczególności t. z. albinosów, nie tak rzadkich jakby się wydawało, które jednak rzadko bardzo potrafią się przez dłuższy czas ochronić przed napadem drapieżcy. I tutaj *varietas delectat* — pociąga drapieżcę, a natura nie pozwala naruszać ubarwienia gatunków pod wpływem dziedziczenia barw wyjątkowych.

Umiarkowane i racyonalnie wykonywane łowy na igrzyskach głuszcowych, jeżeli ochrona osiągnęła cel zupełny, nie zdołają wykonać szkody w zwierzostanie głuszców, i leżą podobnie jak łowy przy mikocie lub na podchodnego na kozły w zakresie prawdziwie racyonalnego i wielkim powabem otoczonego łowiectwa.

Kto raz zakosztował w tym pojedynku przebiegłości i wzajemnych sprytów, czyj dowcip zwyciężył przezorną naturę, temu bezbarwną i mdłą wyda się rozrywka strzelania przypędzonej przed lufę zwierzyny, i pozostawi chętnie tę zabawkę strzelcom zwierzyńcowym, którym aż lufy rozgrzewają się od strzałów. Trafny strzał, to także pewna sztuka, ale nie sztuka dla wszystkich — ci niech szukają wrażeń myśliwskich tam, gdzie czegoś więcej niż trafności strzału potrzeba; przezorność i płochliwość zwierza — to tylko korzenna przyprawa, trudności — to bodziec do rozwoju sił — łowy na igrzyskach głuszcowych, to szczyt gurmanderyi myśliwskiej naszych czasów. (Dok. nast.)

Szkice z podróży i polowań w Afryce

przez

Józefa Pisulińskiego.

Już od pierwszej młodości podróże po dalekich krajach miały dla mnie szczególniejszy powab. Zazdrościłem ludziom, którzy zwiedzali zamorskie krainy i marzyłem tylko o tem, aby kiedyś w przyszłości dostać się bodaj do Ameryki, i własnemi oczyma stwierdzić opowieści o wspaniałych lasach podzwrotnikowych, o bezbrzeżnych preryach, i doznać przygód, jakie tam każdego czekają podróżnika. Książki traktujące o tem, były przezemnie pożerane. Nie jedną noc przepędziłem na czytaniu takich opisów, niejeden ranek zastawał mnie jeszcze nierozebranego, kiedym ślęczał przy lampie z mapką w ręku, starając sobie uzmysłowić z ustępów właśnie czytanych, niedokładnie tam jeszcze oznaczone miejscowości. Przedewszystkiem lubiłem opisy polowań na dzikie zwierzęta. Te najbardziej rozogniały moją młodocianą wyobraźnię, i rodziły w duszy zamiłowanie do tego sportu, który później prawdziwą dla mnie stał się namiętnością.

Niestety, warunki, wśród których wzrastałem, długo mi nie dały spróbować, czy ręka i oko w równej mierze z sercem wzrastały; lata mijały, a z ich biegiem zdawało się, że namiętność do polowania we mnie zaginęła. I kto mię wtedy widział, mieszczucha, dość wątłej budowy ciała, piszącego za biurkiem, lub wertującego po księgach i aktach, nie byłby przypuścił, że we mnie biło inne serce, jak serce urodzonego gryzipiórka. A jednak namiętność ta nie zamarła; i chociaż zepchnięta na dno serca, jak wszystkie uczucia, którym na wierzch nie wolno wypłynąć — istniała w zarzewiu i potrzebowała tylko lekkiego podmuchu, aby jasnym wybuchnąć płomieniem.

Podmuch zawiał niespodzianie; zawiał wtedy, gdy najmniej się tego spodziewałem. Właśnie w chwili, kiedym chciał wziąć rozbrat z wszelkiemi młodocianemi zachciankami, kiedym postanowił sobie zostać poważnym obywatelem kraju i oddać się pracy, mogącej mi dać utrzymanie i zapewnić przyszłość — w chwili tej — okiełznana oddawna namiętność gwałtownie wybuchła. Spowodował ten wybuch wypadek na pozór bardzo trywialny, bo list jednego z kolegów, który naówczas bawił w Kairze. Nosił on datę 12. grudnia 1883 r. i donosił mi, że piszący sposobi się do podróży do Afryki południowej, która ma na celu dotarcie do Zambezy i polowanie na słonie. List ten był bardzo lakoniczny, bo oprócz powyższych wiadomości nie podawał ani warunków, w jakich ta wyprawa odbyć się miała, ani czasu, kiedy miała nastąpić. W każdym razie był

dostatecznym, aby mię do tej wyprawy zapalić, a rezultatem była odpowiedź, w której prosiłem mego kolegę, by na mnie poczekał.

Ale bo też, jak się było oprzeć takiej pokusie? Polować na słonie! — tego się nigdy prawie nie słyszało w naszym kraju, a tem mniej o Zambezie, która w owych czasach mogła być tak samo górą na księżycu, jak i rzeką afrykańską dla przeciętnego Galicyanina. Zambeza i słonie zadecydowały o moim losie.

I wszystkie moje plany na przyszłość poszły w kąt. Pióro zawiesiłem na kołku, a miejsce jego zajęły teraz: karabin i tobołek podróżny. Nie straciłem też wiele czasu, bo już z początkiem kwietnia popłynąłem ku Egiptowi, gdzie znalazłem się niebawem w objęciach oczekującego mnie towarzysza.

Tak rozpocząłem wycieczkę moją w świat daleki.

Nie będę tu opisywał, w jaki sposób dostałem się nad Zambezę, bo nie stałoby miejsca na moje opowiadanie — nadmienię tylko, że zabrałem z nią znajomość jeszcze tego samego roku. Po wielu kłopotach wylądowaliśmy z końcem października w porcie Kilimane — a stąd do Zambezy bardzo blisko. Cały kraj, którego Kilimane jest niejako stolicą, nazywa się Zambezyą, i należy do prowincyi Mozambickiej, będącej w rękach Portugalczyków już od lat trzystu. Zambeza jest ogromną rzeką. Bierze początek swój na zachodniej stronie Afryki, a płynąc przez całą jej szerokość, przybiera wiele rzek pobocznych, między któremi wspomnę Szirę, wypływającą na północy z jeziora Njassa. O tej rzece będzie często wzmianka w ciągu opowiadania — dlatego byłoby do życzenia, aby czytający zaglądnął do mapki i przypatrzył się tam dokładnie jej położeniu.

A teraz przystąpię do mego opowiadania.

* * *

Od czasu kiedy tu siedzę nad Zambezą, minęło już lat trzy, i ze wstydem wyznać muszę, iż dotychczas, oprócz kilka mizernych antylop, paru krododylów i nieco zwierzyny pierzastej, nic większego nie ubiłem, bo ciągłe a ważniejsze polowanie za chlebem zmuszało mię do odwiedzania okolic, gdzie z grubemi sztukami, jak słoń lub nosorożec, spotkać się było trudno. I tak rok prawie wysiedziałem się na wybrzeżu, i płacąc trybut klimatowi, więcej czasu w łóżku niż na polu spędziłem — następnie dwa lata w Tete, nędznej miejscowości portugalskiej, gdzie wprawdzie polować było na co, gdyby nie zajęcia handlowe, które mi na wydalanie się z stacyi mojej nie pozwalały. Dopiero zwinięcie domu handlowego, w którym pracowałem, powróciło mi wolność. Kontrakt mój się skończył i mogłem teraz rozporządzać moją osobą. Postanowiłem więc skorzystać z tej sposobności i dawne moje marzenia w czyn wprowadzić.

To też gdy opuszczałem Tete z końcem roku 1887 byłem pełen otuchy i dążyłem nad Szirę do stacyi zwanej Szamo, u ujścia tejże rzeki położonej, do przyjaciela mego p. S., gdzie podczas ulew letnich cały plan przyszłej wyprawy obmyśleć i co potrzebne do tego przygotować mogłem. Mówiąc o ulewach — wspomnąć muszę — że takowe przypadają w tej szerokości na miesiące: grudzień, styczeń, luty i marzec; czasem zaś trwają do kwietnia a nawet do połowy maja. Pora ta, przypadając na lato, jest bardzo niezdrową skutkiem ogromnego gorąca i wilgoci, a Europejczyk wyczekuje z niecierpliwością jej końca, by módz się ruszyć z swego domostwa, gdzie dotychczas był prawie więźniem.

Pora deszczowa w tym roku trwała nadzwyczaj długo. Dopiero z końcem kwietnia ustały deszcze i pogoda ustalać się poczęła. Gęste mgły, ciągnące się nad rzeką, oraz obniżenie się temperatury rankami i nocą, zapowiadały nadejście tutejszej zimy a z nią pory polowania. Należało teraz i mnie myśleć na seryo o mojej wyprawie. — I wziąłem się do tego z prawdziwą gorączką.

Włócząc się lat kilka po Zambezyi — poznałem dostatecznie kraj i ludzi. Nauczyłem się też języka kaferskiego, tj. narzecza używanego nad dolną Zambezą a zwanego tu „Czikunda“ od mieszkańców brzegi jej zamieszkujących, a noszących miano „A-czikundów“. Poznałem również faunę i florę krajową, które to wiadomości bardzo są potrzebne podczas podróży po krajach tak odludnych; do teorytecznego zaś ich poznania brakowało dotąd podręczników. Jedyną książką, skąd można było zaczerpnąć jakie takie o nich wskazówki, był dziennik podróży doktora Livingstona, który nie będąc specyalistą, nie mógł dokładnie wyczerpać tego materyału. Wprawdzie towarzysz jego podróży, dr. Kirk, opisał dość szczegółowe rośliny przez siebie nad Zambezą zebrane, ale książka ta, będąc dziełem dość rzadkiem, nie dla każdego była przystępną. Portugalczycy natomiast, chociaż od lat trzystu nad Zambezą siedzieli, o kraju tym bardzo mało mieli pojęcia, a przynajmniej nic o nim światu cywilizowanemu nie mówili.

Najwięcej szczegółów z działów pomienionych posiadałem od myśliwych Europejczyków, którzy polując tu oddawna byli w tym względzie chodzącą encyklopedyą. Oni pierwsi pouczyli mię o sposobie życia zwierząt łownych, a mianowicie słonia, i dali mi mnóstwo wskazówek, które później okazały się nieocenionemi.

Pomiędzy nimi poznałem w Tete niejakiego pana Sella, niemca, który powracał od katarakt Wiktoryi, gdzie stracił wszystkie swoje bagaże podczas przeprawy przez rzekę. On to, przyjechawszy wraz ze mną do Szamu, dawał mi pierwsze lekcye strzelania z ogromnego karabina na słonie przeznaczonego, oraz zaprawiał do tropienia — sztuki myśliwskiej, którą nie każdy posiada.

Pan Sell był dla mnie ideałem myśliwego. Odważny, bez chęci popisywania się odwagą, z zimną krwią i nader szybkim zmysłem oryentowania się w chwili niebezpieczeństwa, był nader stanowczy i zawsze poważny. Oprócz tych zalet, miał cnoty — nie wszystkim myśliwym w udziale się dostające — bo wyborne oko i pewną rękę. Strzelał też kulami doskonale, a wprawy tej nabrał — jak to sam zwykł mawiać — podczas pobytu między Boerami, których zawsze uważał za najlepszych strzelców w świecie. Polowanie było dla niego alfą i omegą życia; polował już od lat szesnastu, przewędrował pieszo lub na koniu całą południową Afrykę, a w tym roku, w którymeśmy się poznali, starał się dotrzeć nad jezioro Bangweobo na północ od Zambezy, i tam polować. I gdyby nie strata bagaży i karabinu, która go zmusiła do powrotu ku wybrzeżu, byłby się z pewnością tam dostał. Polując lat tyle, ubił on był już wszystko, co tylko ubić się dało. Mimo tego zawsze był gotów na jakąkolwiekbądź wyprawę myśliwską, a życie w obozie milszem mu było od spokojnego życia domowego.

Nic więc dziwnego, że towarzystwo tego człowieka było teraz dla mnie nieocenionem, i wyzyskałem je też ku wielkiej mojej korzyści. Kiedy tylko deszcze i gorąca pozwalały na wydalenie się ze stacyi — wybieraliśmy się wspólnie w sąsiednie góry i tam założywszy obóz polowali na mniejszą zwierzynę. Naturalnie, że w tej porze dla olbrzymich traw tropienie za zwierzyną nie wielkie przedstawiało szanse, ale właśnie pośród przeciwieństw i trudności, jakie nam sta-

wiała przyroda, uczyłem się wytrwałości w marszach i wstrzemięźliwości w jedzeniu i piciu.

Nieocenioną jego pomoc poznałem dopiero podczas przygotowań do mojej wyprawy, a szczególnie w urządzaniu pakunków, robieniu nabojów i wyborze potrzebnych narzędzi, towarów i wiktuałów. On to wskazał mi, ile mam wziąść ze sobą perkalu białego a ile czerwonego i niebieskiego, jakiej wielkości paciorki mam zapakować dla Makololów, a jakie dla Augonich, ile mam do tego brać drutu mosiężnego, ile prochu i karabinów dla ludzi. Gdyby nie on, pewniebym pozabierał ze sobą mnóstwo rzeczy, któreby mi tylko utrudniały pochód a zostawił najpotrzebniejsze. Byłbym z pewnością własnym nie doszedł rozumem, chyba po długoletnich jak on doświadczeniach, że najgłówniejszym artykułem ubrania dla myśliwego w Afryce są buty, bo bez tych i kroku się nie zrobi, a w złych natychmiast nogi odparzy, co również na jedno i to samo wyjdzie. Dzięki też jego interwencyi miałem już ku końcowi maja wszystko przygotowane, a z pierwszymi ogniami, które błysły na górach Morambali, stanąłem gotów do drogi.

Długa, płasko zbudowana łódź z małym słomianym domkiem na tyle, który mi miał służyć za mieszkanie w czasie podróży wodnej, została wyekwipowaną do drogi i czekała gotowa u brzegu. Sześciu wioślarzy z pobliskiej wioski, sternik i pilot, oraz dwóch moich dawnych służących — stanowiło załogę tej łodzi. Oni to zgodzeni byli do przewiezienia mnie i moich rzeczy do Katungi, tj. najdalszego spławnego miejsca na Szirze, skąd dalszą podróż już pieszo odbywać miałem.

Zamiarem moim było dostać się poza katarakty Murchisona, stanowiące granicę między dolną a górną Szirą, i tam w kraju Ngoni, lub na południowych brzegach jeziora Njassa, próbować szczęścia w polowaniu na grubego zwierza. W krajach tych nie wielu jeszcze polowało Europejczyków, a ci, co stamtąd wracali, przynosili wieści o wielkich stadach słoni, bawołów i antylop, przez co tylko jeszcze więcej podniecali mój zapał myśliwski i zachęcali do pospiechu.

* * *

W tutejszym kraju — jak w ogóle w całej Afryce środkowej — główną cechą krajobrazu są trawy. Pokrywają one niziny i góry, rosną po lasach i na miejscach skalistych, a bujają tak dobrze na moczarach, jak na piaskach, otulając grubym płaszczem całą okolicę. Gdzie tylko dojdzie promień słońca, a inna roślina miejsca tego jeszcze nie zajęła — tam z pewnością wystrzeli trawa. I jest też gatunków traw bez liku.

Podsycane obfitemi opadami atmosferycznemi, zaś z drugiej strony wysoką ciepłotą, jaka właśnie towarzyszy porze deszczowej, dochodzą tutejsze trawy do kolosalnej wysokości. Tworzą one lasy, wśród których dniami błądzić można, nie widząc nic więcej do koła siebie, jak ich liście i łodygi aż do znudzenia. Widnokrąg prawie niedostrzegalny, a nieba masz tyle tylko, co go widzisz ponad głową. To też chcąc zobaczyć okolicę, trzeba wdrapywać się na drzewa lub pagórki termitowe, lub jeśli jesteś w towarzystwie, na ramiona swego towarzysza i wtedy możesz nazwać się szczęśliwym, jeśliś w ten sposób cokolwiek w dali zobaczył.

Wśród takich warunków komunikacya lądowa jest utrudnioną. Jedynemi drogami są ścieżki prowadzące od wsi do wsi, wązkie i kręte i tak w tych trawach ukryte, że podróżujący nie rzadko je zatraca, i biada mu, jeśli nie ma dobrego przewodnika, któryby go ztamtąd wyprowadził.

I dla myśliwego są one również ogromną przeszkodą, bo strzelanie między trawami jest prawie niemożliwem, zaś na zetknięcie się ze zwierzem w więcej otwartych miejscach liczyć nie można. Dopiero gdy spłoną trawiska i spadnie ta zasłona, która dotąd kraj nakrywała, myśliwy może liczyć na powodzenie. Oczekuje on też tej chwili z niecierpliwością.

Pod niszczącym zębem ognia znikają powoli trzciny i trawy — a z łona ich wydobywają się zczerniałe konary drzew i krzewów, których ogień pochłonąć nie zdołał. Tu i owdzie w rozpadlinach skał i w wąwozach przechowuje jeszcze roślinność swoją barwę; są to niby oazy, pośród niezmierzonej puszczy węgla i popiołów.

Zwierzyna pozbawiona swoich niedostępnych kryjówek zaczyna teraz wędrówkę. Z gór, gdzie małe strumienie wyschły pod palącemi promieniami słońca — wszystko ku dolinom się ściąga. Antylopy, zebry, bawoły i inna rzesza czworonogów z ostrożnością, cechującą tutejszą zwierzynę, wysuwa się na te otwarte miejsca, nie mogąc się oprzeć chęci lizania ciepłych jeszcze popiołów. Za stadami tych stworzeń posuwa się milczkiem lew i pantera. Nawet tchórzliwa hyena nie kręci się więcej koło domostw, ale towarzyszy zdala możnym tym drapieżcom, by po udałych łowach niedojedzonemi szczątkami głód swój zaspokoić.

Pora palenia traw w tych okolicach przypada zazwyczaj na sierpień, rzadko zaś na lipiec lub czerwiec, jak to miało miejsce tego roku. Ognie na górach Morambali świeciły już od dni kilku. Nie było już przyczyny zwlekać z odjazdem.

D z i e ń 8 c z e r w c a zastał mię już na rzece. Z punktu z którego ruszamy, nie przedstawia się ona wcale uroczo. Brzegi płaskie i porosłe trzcinami, drzew prawie nie widać, a tu i tam szarzeją długie ławice piasku, wrzynające się w koryto i hamujące bieg wody. Szerokość koryta wynosi tu między 700 a 900 metrów, ale w niektórych miejscach zmniejsza się do 300 m., i to tam właśnie, gdzie się owe ławice piaszczyste potworzyły. Naturalnie podczas ulew letnich, kiedy wody wzbiorą, dawne jej granice znikają, a rzeka wydaje się w dwójnasób szeroką.

Kiedyśmy mijali zakręt i żegnali ostatniem spojrzeniem Szamo, znikające pośród szarych mgieł, słońce zaledwie wydobywało się na horyzont. Promienie jego — rozpuszczone w mglistej atmosferze — żadnego jeszcze nie dawały ciepła. Wilgoć czuć było — jak to mówią — przez skórę.

Siedząc pod daszkiem między bagażami i pakunkami rozmaitego rodzaju, drżałem od chłodu, mimo koca, którym byłem owinięty. Mgła gęstniała z każdą chwilą i zdawała się przenikać koc i ubranie. Zziębnięty, tęskniłem mimowoli za światłem i ciepłem. I było dla czego — bo moskity, korzystając z tego półzmroku, kłuły tak straszliwie, iż byłbym się chętnie na dno rzeki schował, gdybym był pewny, że tam krokodyle łaskawie się zemną obejdą.

Prąd na rzece nie wielki — posuwamy się zatem dość szybko i to albo siłą małych wioseł „mombo“, albo długich tyk, zwanych „pondami“. Marynarze — to gwarzą między sobą, to śpiewają, a plusk wioseł miesza się z przeciągłem „monto“ [1]) lub „paudżia“ [2]) pilota, mierzącego takiem „pondem“ dno rzeki. (C. d. n.).

[1]) monto — do brzegu.

[2]) paudżia — od brzegu ku środkowi.

KORESPONDENCYE.

Lwów, d. 10. stycznia 1895.

(Krysowickie łowy).

Nieraz już w „Łowcu" czytaliśmy opisanie polowania w Krysowicach, więcej jeszcze słyszeliśmy opowiadań ustnych przez szczęśliwych uczestników, rezultatem zaś jednym i tym samym dla każdego, który bodaj raz brał w nich udział, było zawsze westchnienie żalu, że polowanie już skończone i zapytanie zrobione w duchu: „Czy też na przyszły rok Stadnicki będzie o mnie pamiętał?"

Polując już lat 10 u Stadnickiego, chociażby już przez przedawnienie, mam prawo uważać się za gościa stałego i dlatego nie przypuszczam, ażeby wszystko co powiem dodatniego o jego polowaniu, uważał za komplementa, mające na celu wkręcenie się do Krysowic. Ponieważ jednakże, pomimo stosunków przyjaźni, łączących nas od lat dziecinnych, w złej jakiejś chwili i ta myśl mogła by mu przyjść do głowy, że nie komplementa, ale prawda, niecne ma jakieś powody i cele — zostawiając innym opisanie zwierzyny ubitej, sprężystości i umiejętności w prowadzeniu — zabiorę się ja do opisania negatywnej strony Krysowickiego polowania, a chociażby mnie wszyscy współtowarzysze ukamienować mieli, a Stadnicki nigdy więcej do siebie nie zaprosił, prawdę powiedzieć muszę.

Jest tedy strona ujemna i to bardzo ważna, a chciałbym wiedzieć, kto mi zaprzeczy i kto poda radę na zamianę lub usunięcie złego. Zanadto wielka pewność siebie, wstręt do płaszczenia się przed kimkolwiek, sprawiły, że Stadnicki na czysto tylko europejskiej stopie żyje z całą administracyą niebieską, przeznaczoną do obdarzania nas pogodą i niepogodą. Stosunki te prawdopodobnie naprężone sprawiają, że niech na całym świecie będzie pogoda i barometr stoi na punkcie kulminacyjnym — wystarcza, żeby tylko Stadnicki rozpisał zaproszenia na swoje polowanie, a już wszelkie klęski myśliwskie pod postacią strasznych opadów śniegu, okiści, zadymek lub też gruntownej odwilży walą się na biedne Krysowice. Tak też było i tego roku. Grudzień był śliczny, podczas świąt spadło tyle śniegu, że sanna była doskonała, a chodzenie dla myśliwych i naganki zupełnie możliwe. Dostaliśmy zaproszenie do Krysowic na 3go, 4go i 5go stycznia. Zaraz po otrzymaniu listu poszedłem popatrzeć się na barometr, który naturalnie pierwej odemnie o polowaniu uprzedzony, pokazywał tendencyę zniżkową. Żeby go nie rozdroczyć, nie popatrzyłem się nawet w jego stronę aż do wyjazdu, ale i te gusła na nic się nie przydały, bo pierwszego dnia, to jest 3go, kiedyśmy mieli odbywać polowanie mięszane, w polach i w lesie, w chwili wsiadania na sanie, puścił się gęsty, mokry śnieg, który świat Boży przed nami zasłonił i sumiennie dotrzymał do późnego wieczora.

Nazajutrz 4go polowaliśmy w lesie w Nowosiółkach, i jakby na urągowisko tego, co na drugi dzień być miało, był dzień śliczny, słoneczny z lekkim wiatrem, który całą zwierzynę z pola do lasu pospędzał. Dnia 5-go mieliśmy wyruszyć do Czyszek na polowanie mieszane polne i lasowe. Wracając w piękną, mroźną, księżycową noc z Nowosiółek, wszyscyśmy sobie mówili. Nareszcie zdaje się, że owo fatum przebłagane i Czyszki, owe Czyszki, z których dwa lata temu, z powodu niesłychanej zadymki, po dwóch miotach do domu uciekać musieliśmy, nareszcie doczekały się pięknego dnia. Ale gdzie tam! Koło 5tej rano przebudził nas huk jakiś i szum starych drzew, okalających pałac Krysowicki i zwiastowały coś bardzo niedobrego. „Co tam na dworze?" — zapytałem wchodzącego służącego. „Mróz i zadymka" była odpowiedź krótka ale wyraźna. Sąsiedzi się pozjeżdżali, a każdy z frazesem na ustach: „Straszna pogoda". Wyruszyliśmy o oznaczonej godzinie na polowanie. Huragan prawie, że nas z sani ściągał, ale przecie polowaliśmy. Co się jednak z niejednym z myśliwych działo, co za cuda waleczności dokazywał gospodarz, żeby nagankę w należytych karbach utrzymać — niechaj zdolniejsze pióro niż moje, dopowie. Ja zaś do swojego wracam, to jest, że na tem miejscu szczerą kochanemu gospoparzowi daję radę, żeby się zastanowił nad aksiomatem, iż gdzie nie można przeskoczyć tam trzeba podleść; niech wejdzie w bliższe stosunki z klasycznymi protektorami myśliwstwa Dianą i Hubertem, i daj za ich wstawieniem coś zrobi, żeby od siebie odwrócić gniew elementów. Co byśmy byli mogli zrobić na Krysowickiem polowaniu, gdyby nie te różne nieporozumienia z aurą i bóstwami łowów, niech posłuży za dowód rozkład, który w obec tych strasznych atmosferycznych warunków wykazał: 235 zajęcy, 43 rogacze, 4 lisy i 1 kuropatwę.

Stefan Szembek.

Szyły koło Podwołoczysk d. 2. stycznia 1895.

(Pogrom zajęcy).

Zaproszony przez JW. hr. Juliusza Korytowskiego, miałem po raz pierwszy uczestniczyć w polowaniu, które wyżej wymieniony właściciel co roku urządza w swym majątku Petlikowce, nad Strypą położonym — a o którem zawsze słyszałem, że jest pierwszorzędne, bo i nadzwyczajnie prowadzone i odznaczające się znaczną ilością zwierzyny, przeważnie zajęcy.

Dnia 27. grudnia zjechaliśmy się wedle umowy w Tarnopolu i dalszą dość odległą, bo wyżej 50 kilometrów wynoszącą drogę, odbyliśmy razem, snując rozmaite kombinacye i domysły o wyniku czekającego nas polowania. Hr. Korytowski upewnił nas, że byle nie było odwilży zbyt wielkiej lub śnieżycy, to spodziewa się w tym roku lepszego niż zwykle rezultatu.

Sama droga jest bardzo interesującą, bo wiodąc z Tarnopola brzegami Seretu, przecina ślicznie położone miejscowości Berezowicę, Myszkowice, Czartoryę, Mikulińce i Strusów, gdzie odbyliśmy krótki popas i dalej jazda w step! Wyjechawszy za Strusowem koło Darachowa na dość stromą górę, dostaliśmy się na step Trembowelsko-Strusowski, ową sławną Pantalichę. Po blisko trzygodzinnej jeździe, podczas której oko na niczem innem spocząć nie mogło, jak na absolutnej równinie śniegiem zasłanej, wyłonił się wreszcie przed nami las, pierwszy, jaki widać od Strusowa. Weselej się robi na duszy na widok pięknej dąbrowy, a serce żywiej nam uderzyło, gdyśmy się dowiedzieli, że to knieja, w której nazajutrz polować mamy. Spuszczamy się wreszcie ze stepu ku Strypie, wzdłuż której, nad wyraz malowniczo rozłożona, ciągnie się wieś Petlikowce. Przejechaliśmy wieś i wjeżdżamy szeroką aleją stuletnich lip przed duży kamienny dwór, o bardzo ciekawej architekturze, będący, jak tradycya głosi, jedynem pozostałem skrzydłem zameczyska, w którem mieszkał Kaniowski.

Raporta, jakie jeszcze tego wieczora otrzymał hr. Korytowski, brzmiały bardzo pomyślnie: „Zajęcy jest więcej, niż zwykle — na step nie wyszły — są w lesie“. Tak rzekł stary Naumowicz, a co stary Naumowicz o swojej zwierzynie powie, to można uważać za matematyczny pewnik! On tu rok cały zwierzyny dogląda jak własnego dobytku i od szkody strzeże. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni pilnuje ją w stepie, aby się spokojnie mnożyła, aby jej ani drapieżne zwierzęta ani ptaki, ani nieproszeni myśliwi lub psy nie niepokoili, a skoro z pierwszym śniegiem zające ściągną do lasu, to znów dostarcza im obfitego pożywienia i od wszelkiego niepokojenia w lesie jak najtroskliwiej strzeże. To też doprowadził do tego, że kiedy hr. Korytowski w roku, w którym kupił Petlikowce, zabił trzy zające, obecnie na polowaniu do 150 sztuk zwierzyny ginie.

Polowanie nasze rozpoczęło się następnego dnia, t. j. 28. grudnia o 10-tej rano. Wzięło w niem udział 12-tu myśliwych. Zaraz w pierwszym miocie padło strzałów przeszło 120 i podniesiono 46 zajęcy i rogacza! Następne mioty nie wiele pierwszemu ustępowały, w każdym roiło się od zajęcy, i strzały gęsto padały, tak, że do godziny 4-tej wzięliśmy 10 miotów (2 nie tknięto) i zabiliśmy 275 zajęcy, 5 rogaczy i 2 lisy. Zaiste, imponujący to rezultat, przynoszący zaszczyt właścicielowi.

Strzałów naliczono około 580, chociaż ja mam to przekonanie, że padło ich więcej, tylko dla ustawicznej kanonady niepodobna było dokładnie wszystkich porachować. Diana dla wszystkich łaskawą była w tym wyjątkowo pięknym dniu; dużo się strzelało, nieco zabito, a palmę pierwszeństwa odniósł najmłodszy syn gospodarza, hr. Felicyan, który sam zabił 39 zajęcy!

Nietylko jednak zdumiony byłem materyalną stroną tego polowania, t. j. ilością zwierzyny i możnością ustawicznego strzelania, bo to u mnie nigdy głównej nie stanowi przyjemności; imponowała mi równocześnie znakomita organizacya nagonki, która cicho i bez hałasu, a karna jak najlepsze wojsko, mioty zachodziła, i która ani gęstemi strzałami, ani wpadającemi często na nią zającami ze swego spokoju na chwilę wyruszyć się nie dała, tylko ciągle w równym szeregu spokojnie i uważnie naprzód postępowała, zbierając po drodze leżącą zwierzynę. Przytem doskonałe urządzenie lasu i znakomita znajomość knieji i wagi zwierza robi to polowanie już nietylko dla strzelca, ale i dla prawdziwego myśliwego — jednem z najładniejszych, jakie istnieją.

Włodzimierz Garapich.

Ossowce, d. 30. grudnia 1894.

(Z pięknej knieji. Warunki utrzymania dobrych zwierzostanów).

Nadzwyczajne polowanie odbyło się 28. b. m. w Petlikowcach, majątku hr. Juliusza Korytowskiego. Zabiliśmy w 12 strzelb w knieji niemającej 350 morgów 275 zajęcy, 5 kozłów i dwa lisy. Jest to rezultat zadziwiający i wątpię, czy drugie podobne polowanie znajduje się w Galicyi. Są miejsca w zachodniej Galicyi, gdzie na polach i na wielkich obszarach zabija się i więcej, lecz ażeby w małym lasku dojść do tak wielkiej ilości, to zupełnie wyjątkowe. Ponieważ od lat kilku mieszkam w najbliższem sąsiedztwie Petlikowiec, a lasy nasze prawie się dotykają, mogę więc szanownym czytelnikom „Łowca“ i prawdziwym myśliwym, nie tym co tylko strzelają po polowaniach, lecz tym co hodują zwierzynę, dać pogląd na sposób, w jaki się dochodzi do tak pięknych rezultatów.

Najważniejszym warunkiem, a prawdę powiedziawszy *jedynym* do dojścia do dobrego polowania, jest powiedzenie sobie: muszę kilkadziesiąt lub sto kilkadziesiąt złotych, według obszaru przeznaczyć na tępienie szkodników. Kto się na to nie zdecyduje i powie tylko „w moim lesie i po moich polach nikt nigdy ze strzelbą nie chodzi“, ten nigdy bardzo dobrego polowania mieć nie będzie. Na moich polach i w moim lesie ciągle chodzą ze strzelbami i strzelają szkodniki za które bywają płatni, to samo dzieje się w Petlikowcach. Las w Ossowcach ma około 250 morgów, w Petlikowcach jest 100 morgów więcej. W Ossowcach od lat sześciu dopiero tępię szkodniki, w Petlikowcach dużo dawniej. W Ossowcach poluję co roku, Petlikowce w zeszłym roku pauzowały, tem się tłumaczy, że u mnie mniej stosunkowo zabito, aniżeli u mego sąsiada.

Tego roku, mimo najstraszliwej zadymki, mimo okropnej okiści, padło w Ossowcach 83 zajęcy i dwa lisy; do rogaczy strzelano, lecz bez powodzenia. Myśliwych było 12, przy sprzyjającej porze bylibyśmy z łatwością setkę przekroczyli, — lecz nic nie szkodzi, zostanie więcej na przychowek.

W Petlikowcach dobrze strzelano, gdyż na zabicie 282 sztuk padło 580 strzałów. Naganka szła wzorowo, jedno skrzydło prowadził syn gospodarza, dobrze pilnował porządku i został za to wynagrodzonym, gdyż zabił 39 zajęcy. Lasy te obydwa są bardzo szczęśliwie położone wśród pól nad Strypą, mają źródła, które nigdy nie zamarzają.

Drugim ważnym warunkiem dojścia do licznego zwierzostanu jest racyonalne karmienie. Nie będę się nad tem długo rozpisywał, bardzo wiele już o tem w „Łowcu“ pisano, dodam to tylko, że uważam za rzecz konieczną dawanie paszy w tryzubach „pod dachem“; pasza wtedy się nie psuje i zwierzyna chętnie ją spożywa. Zupełnie błędnem jest mniemanie, że sarna lub zając boją się podchodzić pod dach. Ważne jest również silne żywienie zwierzyny w lutym i marcu podczas parkotni.

Prawdziwy hodowca zwierzyny powinien koniecznie mieć puhacza, bez niego nigdy dużo jastrzębi nie zabije. Jest to przytem bardzo zabawne polowanie i przypada właśnie wtedy, kiedy myśliwy zwykle zawiesza strzelbę na kołku, to jest na miesiące marzec, kwiecień i maj.

Za szkodniki płacę u siebie w następujący sposób. Za lisa 1 złr., orła 1 złr., kunę 1 złr., za jastrzębia (*Astur palumbarius*) 1 złr. (jest to może największy szkodnik i mało ich w ciągu roku zabijają, gdyż na puhacza niechętnie uderza). Za psa płacę 50 cnt., za kota 30 ct., za kruka 30 ct., za zwykłego jastrzębia i tak zwane kaniuchy 30 cnt., za wronę 10 cnt. W lesie nie powinno się znajdować ani jedno gniazdo czy to jastrzębia czy wrony. Jeżeli jakiekolwiek znajdę, leśny płaci 1 złr. kary. Kiedyś w maju oglądałem gniazdo wrony; było wewnątrz najstaranniej wyściełone skórkami młodych zajęcy.

Utrzymanie w podobny sposób zwierzyny jest wprawdzie rzeczą kosztowną, lecz obliczywszy co mnie szkodniki kosztują, a co mi przynosi sprzedana zwierzyna, lub też w domu spożyta, zawsze będzie coś przybytku, nie licząc przyjemności dobrego polowania, za którą można grubo zapłacić. W tem wszystkiem, co powyżej powiedziałem, niema ostatecznie nic tak bardzo nowego, niejeden powie: „Ja o tem dawno już słyszałem!“ Prawda, lecz dlaczegoż tego u siebie nie zaprowadzisz? Niemcy i Francuzi widać mądrzejsi od nas. Do was, wszyscy lubownicy polowania, do was głównie się odzywam: przestańcie być strzelcami a bądźcie myśliwymi!

Na zakończenie przytoczę anegdotkę. Jeden z moich przyjaciół był przed kilkoma laty w Paryżu i zachwycał się pięknością trawników w parku Monceau.

— Jakże wy do tego przychodzicie? — zapytał dozorcę parku.

— Proszę Pana, to wszystko za pieniądze — brzmiała odpowiedź...

To samo powiedzieć można o utrzymaniu i hodowaniu zwierzyny. *Alexander hr. Potocki.*

Rymanów, w grudniu 1894.

(Rzadki gość).

Z rzadkim gościem spotkaliśmy się tutaj. Dnia 20. grudnia, w rewirze „Wołtuszowa" na zapuście dziesięcioletnim, niemal tuż pod zakładem zdrojowym Rymanowskim, padł ryś. Ubiłem go po niemałych trudach. Otropiony o 8-ej rano dnia 20. grudnia, potrafił do godziny 3-ciej po południu, myląc swój ślad przez ciągłe skakanie po drzewach, poprowadzić mnie przez całe cztery mioty aż na miejsce gdzie był zastrzelony.

Padł strzelony śrutem Nr. 4 w chwili, kiedy nie mogąc uciec (obstawiony przez leśnych) zbierał się do skoku na mnie, a byłem ubrany w skórę, a raczej futro siwe z psów morskich. Co spowodowało jego napad na mnie, czy rozdrażnienie, czy może chęć wyprawienia sobie po tak długiej gonitwie podwieczorku ze mnie, którego w tem futrze wziął za jakieś zwierzę — tego nie wiem, ale zrobił do mnie dwa potężne skoki kilkumetrowe; gdy był w trzecim, już prawie w powietrzu, poczęstowałem go z mojej lefoszówki i runął mi pod nogi. Tak był wściekły, że zrobił na mnie wrażenie zupełnie tygrysa, a nie zwykłego rysia. Jest duży i ładnie centkowany w duże łaty. Mam w lesie jeszcze jego przezacną małżonkę; przy świeżej ponowie może mi się uda ją złowić. Szkody robiły ogromne.

Sarn mamy w lesie ładny stan, ale je szanuję, ażeby się zwiększył. Na polowaniu w dniach ostatnich padło 3 rogacze, 5 lisów i 22 zajęcy, jak na nasze strony, nieźle.

Jan Potocki.

Złotniki pod Pantalichą w grudniu 1894.

(Chmury kaczek — puste knieje).

Jak daleko okiem sięgnąć, biały całun okrył stepy, wyrównując jednocześnie błota i moczary (zdespektowane poniekąd w październikowym numerze „Łowca"), na których szczególnie w tym słotnym roku gościła niezwykła mnogość ptactwa błotnego, a więcej jeszcze wodnego. Na wieczornych ciągach kaczek — a broń mnie Boże od łaciny myśliwskiej! — wyglądało literalnie tak, jak widzimy z wiosną ciąg chrząszczów majowych. Były to przeważnie cyranki, lecz powtarzam, obfitość taka, że od częstych strzałów lufy były rozgrzane. Cóż dopiero o samym sobie na podobny widok powiedzieć mogę? Każdy nerw grał oddzielnie, a serce zdawało się, że zbyt głośnem swem biciem przepłoszy wszyststkie kaczki. Lecz próżna obawa! Kaczki bowiem do ciemnej nocy roiły się, było więc dosyć do roboty tak dla myśliwego, jak dla wiernego setera, który używał prawie nieprzerwanej kąpieli z najwyższem zadowoleniem przy aportowaniu kaczek.

Aby prawdę wyznać, trafiało się więcej pudeł, niż spadających kaczek, ależ i nie dziw, gdyż formalnie tumaniało się na ten widok rajskiej obfitości, którego zapomnieć się nie da i którego od lat ośmnastu tutaj nie pamiętam. Zrehabilitowała się więc niegdyś sławna Pantalicha! Przepiórek było również dosyć; za to jesienią słonki nader rzadko przeciągały, mimo iż miały bardzo sprzyjającą jesień.

Na zakończenie niech mi wolno będzie wspomnieć o polowaniu w lasach Podhajeckich i przylegających Łysieckich wraz z lasami Rudnickiemi, należącemi do profesora Dr. Czyżewicza. Na polowaniu w dniu 17. b. m. w siedmnaście strzelb padło 5 zajęcy, jeden lis i dwie sarny. Na kilkutysięcznym obszarze lasowym padło wszystko to, co się widziało. Smutny to obraz zwierzostanu! *Dom. Buda.*

Świtarzów, d. 5. stycznia 1895.

(Trzynaście dzików).

Przez całą jesień już spacerowało po naszym lesie stadko dzików, złożone z 13-tu sztuk, do którego często inne dwie duże sztuki się dołączały. Otóż na wilię obległy obie te partye razem w gęstym zrębie.

Wybraliśmy się tedy, t. j. ojciec i ja do lasu, by sprawić dzikom „lanie." Kiedym zajął moje stanowisko, ujrzałem lisa, myszkującego zaledwo o kilkanaście kroków przedemną. Wnet jednak uwaga moja została od niego oderwaną, bo natychmiast nagonka ruszyła, a już w chwilę potem usłyszałem ciche stąpania po miękkim śniegu i z pod gałęzi, grubą okiścią nagiętych, wychyliło się kilka łbów z długiemi ryjami.

Dziki wszystkie wysunęły na mnie. Nie szły jednak kupą, ale pojedynczo, albo po dwa lub trzy. Jeden mały, srokaty warchlak, podbiegł naprzód i stanął odemnie nie dalej jak na sześć kroków. Przycisnąłem się tedy do drzewa obawiając się, aby mnie nie zobaczył, gdyż wtedy byłyby dziki niezawodnie uderzyły na nagonkę i tyle byśmy je widzieli. Trwało tak długą chwilę; nareszcie większa część dzików posunęła się wzdłuż linii, oddalając się odemnie. Warchlak stojący przedemną truchtem za towarzyszami podążył, a locha, której dotąd nie widziałem, posunęła się na jego miejsce. Teraz już mogłem strzelać, gdyż pewny byłem, że dziki się nie wrócą. Strzeliłem tedy do lochy, która na miejscu została, a gładką kulą mej „buchsflinty" do wynoszącego się warchlaka. Chybiłem go jednak, zdaje się, że z powodu wielkiego gąszczu.

Już po pierwszym strzale ruszyły dziki ławą ku linii, zdołałem jednak nabić jeszcze expressa i kiedy dziki skakały przez linię, zabiłem ładnego wycinka.

Stado całe popędziło przez las i obległo na drugim jego końcu. Kiedyśmy je objechali, stanąłem znów na wekslu, ale nie na linii, lecz na małej haławce wśród lasu. Na nieszczęście jednak umieściłem się poza grubem dębem. Nagonka zaraz ruszyła, ale tą razą dzikom jakoś nie spieszno było wynosić się z miotu. Kiedy już nagonka nie dalej jak 150 kroków odemnie była, słyszę: „pilnuj!" Wychylam się z za dęba i widzę już tylko zad dzika przemykającego po drugiej stronie dęba. Zwracam się więc piorunem i strzelam do niego raz, a widząc, że nie pada, lecz tylko lekko naznacza, poprawiam drugim strzałem. Jeszczem nie odjął strzelby od twarzy, gdy słyszę, że dwa dziki mijają mnie po lewej stronie. Nabijam więc czemprędzej i robię dublete do obu uciekinierów. Wtedy dopiero obracam się w stronę pierwszego dzika, i widzę, że go nie ma. Idę na trop, farby nie ma. Cóż u licha, przecież em go nie chybił?

I faktycznie nie chybiłem. Dzik leżał w drugim miocie nieżywy, mimo tego, że na całej przestrzeni nic nie

farbował. Znaleźliśmy go w cztery dni później zupełnie nienaruszonego; mięso tylko było już do użytku niemożebne.

W tym miocie dziki się już rozbiły, gdyż na mnie wyszło ich tylko trzy a reszta przebiła się przez nagonkę i obległa w niedalekim miocie. Tą razą stanąłem na linii niedaleko ojca, tak, że dziki musiały iść między nami. I rzeczywiście ruszone przez nagonkę wyszły na nas; ojciec zabił jednego, ja drugiego.

Wilia przeszłoroczna zapisała się tedy wesoło w mej pamięci, gdyż miałam na rozkładzie 6 dzików i 3 kozły, które już pod wieczór na podjazd zabiłem.

Prześladowanie tak srogie nie podobało się dzikom; to też wyniosły się na dni parę, ale już 29 grudnia znowu do nas zawitały i obległy na młodym zrębie, gdzie zaledwo trochę osiczyny schronienie im dawało. Tą razą nagonki nie było potrzeba, to też gajowy sam poszedł je napędzić. Dziki zaraz skręciły ku polu, jeden zaś odbił się od stada i wyszedł na mnie na sztych Po strzale rulował na miejscu a inne dziki skręciły ku linii. Tu znowu zrobiłem dubletę, a ojciec strzelając z większej odległości zabił jednego. Reszta niedobitków, pokręciwszy się po całym lesie, obległa w gęstym miocie. Podłożyliśmy psy i tą razą dziki wyszły na ojca, który na wąskiej linii zrobił dubletę Ogólny wynik był więc 13 dzików, z tych ojciec zabił 4, a ja 9.

Konstanty Kownacki.

Tataryn ó w, 27. grudnia 1894.

(Kulon i Kulig.)

Szanowny korespondent z Glinian (K. J., str. 190 „Łowiec“ r. 1894) powątpiewa o właściwości nazw niektórych ptaków krajowych, użytych w pracy mojej. „Z krainy lotów“ str. 37. „Łowca“ r. z. Pomimo, że podniesione wątpliwości rozwiać się już musiały w części w skutek przypisku Redakcyi „Łowca“, pozwalam sobie podnieść jeszcze raz głos w tej dość przedawnionej sprawie, w celu stanowczego uchylenia nieprzyjemności, jaką w każdym razie jest dla autora niezrozumiałość.

„Twierdzi autor“ powiada szan. korespondent kierując te słowa do mnie, „że błędnie nazywają się kulonami „duże kuliki“, gdyż kulon jest to ptak przebywający w pustych piaszczystych okolicach“. I tak jest w istocie, przed 9-ciu miesiącami wypowiedziałem to samo twierdzenie w innych słowach, a dziś, gdy zachodzi potrzeba wywołana wspomniana korespondencyą, pospieszam z dowodami zebranemi w naszych tradycyach myśliwskich, a przedewszystkiem na kartkach naszej rodzinnej ornitologii

Ptak nazywamy przez szan. korespondenta „kulonem“ ochrzczony został jeszcze w zeszłem stuleciu w „*index ornithologicus*“ Lathama, *Numenius arquatus*, i znachodzi się rzeczywiście w muzeum im. hr. Dieduszyckich pod ludową i miejscową nazwą „kulona stepowego“, ale nie jest to jego nazwa „urzędowa“ jak się sam korespondent wyraża, nie jest to nazwa naukowa, przy pomocy której porozumienie jest możliwe. W starej naszej gwarze myśliwskiej pod nazwą „kuliga“ rozumiano bezwątpienia ptaki gatunków *Numenius*, niemniej gatunków *Totanus*, kulon zaś *Oedienemus crepitans* małą na siebie zwracał uwagę dla lichoty mięsa, i był znanym li tylko w pewnych okolicach, będąc ściśle przywiązanym do pewnych dość wyjątkowych stosunków siedliska. Przeciwnie kuligi w rozmaitych odmianach były, osobliwie w porach przelotów, dość pospolitem zjawiskiem na całym obszarze ziem naszych.

Terminologia łowiecka Kozłowskiego, opierająca się na źródłach historycznego łowiectwa naszego, zna „kuliki“, które „prześwistują“ — a w dziełku Hieronima Morsztyna „Historya o banialuce“ (r. 1650 Kraków) „prześwistają“ również „długonogie kuliki“.

„Myśliwstwo ptasze“ zna tylko „kuliga“, kuliszka“ i „kulika“, same nazwy wzięte od głosu ptaka a przypominające nazwę fonetyczną francuską *courlis*. Najniezawodniej „kulig wielki szarego a białego pióra“, który według autora tego najstarszego naszego dzieła myśliwsko-ornitologicznego:

„Niewdzięcznym ale głośnym krzyczy głosem,
Pokiwując na wsze strony nosem“ —

jest ptakiem nazwanym po łacinie *Numenius arquatus*, boć numen łacińskie oznacza potakiwanie, kiwanie głową na znak zgody. Uczony A. Waga w swych dopiskach do „Myśliwstwa ptaszego“ powiada najwyraźniej, że „kulig wielki“ oznacza tam *Numenius arquatus Cuv.* a wreszcie dodaje: „Z wyrazem kulig w związku zostaje inny, kulon, którym w okolicach Warszawy oznaczają innego ptaka, także pospolitego, *Oedicnemus crepitans* zwanego“.

Znana ogólnie nazwa miała pewne prawo do wkroczenia na karty nauki, to też przeważna część naszych ornitologów nazywa *Numeniusa* kulikiem lub kuligiem, dodając pojedynczym gatunkom bliższe określenia. *Numenius arquatus* jest to „Kulik ugorowy“ Jarockiego, „kulik największy“ Górskiego i Kumelskiego, „Kulig wielki“ Taczanowskiego i Wagi, „Bekas kulik“ Jundziłła, „Bekas krzywodziób“ Kluka. Urzędową zatem nazwą tego ptaka niemoże być inna jak tylko kulik lub kulig, dla odróżnienia „duży“, a to choćby tylko z pietyzmu dla całej falangi zasłużonych naszych przyrodników.

Ptaka, którego Temminck nazwał *Oedicnemus crepitans*, a Brehm *O. arenarius* nazywam „kulonem“, ale zapewniam, że nazwy tej również z palca nie wyssałem, lecz powtórzyłem ją za większością naszych ornitologów, kierując się zasadą Tyzenhausa (Zasady ornitol. 1841 str. 45), że nazwa utarta powinna mieć pierwszeństwo przed inną z obcych języków przyswojoną lub przetłumaczoną, niemniej przed nazwą później utworzoną, a wreszcie, aby była o ile możności pojedynczą i łatwą do wysłowienia. „Kulon właściwy“ Tyzenhausa, „kulon zwyczajny“ Wagi, „kulon“ Taczanowskiego pozostał przeto i u mnie kulonem, a zapomniałem o „czajce grubonogu“ Kluka, o „grubonogu“ Zawadzkiego i Nowickiego, bo są to tylko dosłowne tłumaczenia nazwy niemieckiej zatrzymanej przez Brehma „*Dickfuss*“, nazwy może charakterystycznej, ale nie naszej. Z nazwą „grubopiętek“ spotkałem się po raz pierwszy w muzeum im. hr. Dieduszyckich.

O naprowadzonym przez szan. koresp. dropiu strepecie w obec sprostowania Redakcyi „Łowca“ niewiele mi już pozostaje do powiedzenia, w każdym razie nie można tu mówić „strepet albo grubopiętek“, bo są to ptaki zupełnie różne. Strepet to *Otis tetrax*, nazywany u nas mylnie w pewnych miejscowościach „pardwą“, gdyż nazwa ta przysługuje „z urzędu“ gatunkowi głuszcowatych *Lagopus*, z których jedna odmiana *L. albus*, Pardwa właściwa czy też litewska, na północnych kresach dawnych ziem naszych przemieszkuje obszerne mokradła zarosłe trawą i drzewem karłowatem.

Kończąc tę dość nudną i suchą wycieczkę w chaosie nazw ornitologicznych, który jednak niestety z każdym ro-

kiem coraz bardziej się powiększa przez wytwarzanie coraz to nowych a nie zawsze szczęśliwie dobranych nazw, wdzięczny jestem szan. korespondentowi, że podnosząc swe wątpliwości, dał mi dobrą sposobność do drogi porozumienia.

Władysław Spausta.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Zatorze, dobrach hr. Augusta Potockiego, odbyło się w dniach 18, 19. i 20. grudnia polowanie w ośm strzelb. Polowano w polach t. zw. „sztrajfem" tj. gęsto obsadzoną linią nagonki o dwóch bocznych, pod kątem prostym ustawionych skrzydłach, przyczem myśliwi idą wraz z nagonką. Udział w polowaniu wzięli: hrabiowie Andrzej, Roman i August Potoccy, p. H. Herberstein, hr. Edward Starzeński, hr. Antoni Wodzicki, p. St. Koźmian, ks. Stefan Lubomirski i hr. Maks. Mielżyński. Ubito 1043 zajęcy, 1. rogacza, 18. kuropatw i 47 bażantów.

— W Złotnikach, majątku J. E. hr. W. Siemieńskiego-Lewickiego odbyło się dnia 8. stycznia polowanie w cztery strzelby, na którem padły 4 lisy, 4 rogacze i 93 zajęcy na 192 strzałów.

— W Rożdżałowie, w powiecie Sokalskim, otropiono w ostatnim tygodniu grudnia pięć wilków, z których ubito w 4 strzelby pierwszego dnia 2, drugiego 2, a trzeciego dnia 1 sztukę — razem 5 sztuk, między któremi było 4 suki, a tylko jeden pies. *C.*

— W Zdakowie, majętności p. Władysława Trzecieskiego, odbyło się na równiach dnia 8. stycznia polowanie, na którym padło140 zajęcy. Strzelb było 18. Zanotować wypada, że w jednym miocie w obszarze 50-morgowym było przeszło 100 zajęcy i w tymże padło 56 sztuk. Wszelkie uznanie należy się gospodarzowi, który starannem a racyonalnym chodowaniem doprowadził stan zwierzyny do tak pięknego rezultatu. *M. Jabłoński.*

— W Mogilanach, majątku pana Stanisława Konopki, padło na polowaniu grudniowem 45 zajęcy, 1 rogacz, 1 lis i 2 kuropatwy. Rezultat to w kniei mogilańskiej świetny, gdyż przed kilku laty ledwie parę zajęcy leżało na rozkładzie. Sarny były prawie we wszystkich miotach, a koroną chwały gospodarza, to bezsprzecznie stada, że tak powiem, kuropatw, które w polnych miotach ustawicznie nad kociołkiem krążyły. Mrówcza praca młodego gospodarza, tak w gospodarstwie rolnem, lasowem jak i łowieckiem wydała, a sądzę, że z każdym rokiem wydawać będzie świetne owoce, czego Ci szanowny gospodarzu za tak miło staropolskie serdeczne przyjęcie z serca życzę. *Jeden z uczestników.*

— W Tomicach, własności ś. p. Aleks. Gostkowskiego, odbyło się d. 15. grudnia polowanie; ubito w 9 miotach przy niesprzyjającej pogodzie 67 zajęcy i 3 kuropatwy. Niżej podpisany ubił dzień później grubopiętka (*Oedicnemus crepitans*), ptaka dość rzadko u nas spotykanego.

Erwin M.

— W dobrach ordynacyi łańcuckiej, na polach ubito w roku 1894 ze zwierzyny *pożytecznej*: rogaczy sztuk 26, zajęcy 576, bażantów 687, kuropatw 96, przepiórek 290, dubeltów 10, kszyków 16, krzyżówek 20, cyranek 19 razem 1743 sztuk; ze zwierzyny zaś *drapieżnej*: lisów 66, psów 141, kotów 208, łasic 60, kun 3, tchórzy 36, jastrzębi itd. 18, kruków 4, razem sztuk 1.143 — razem 1759 sztuk.

Wł. Lewicki.

— W Pantalowicach, u p. Władysława Bzowskiego, polowaliśmy dnia 18. grudnia w 9 strzelb w polach. Rezultat polowania: 61 zajęcy i 1 rogacz. Sarn było kilkonaście sztuk, lecz te przebiły się — uderzywszy na nagonkę w zbitej masie.

— W Rączynie, u Wgo Stefana Preka, polowaliśmy d. 23. grudnia w czterech polnych miotach. Ubito 86 zajęcy, 3 rogacze, 2 kuropatwy i 2 psy. W trzecim miocie, gdy już miot był zamknięty, widzieliśmy w kilkomorgowej remizie dwa kundysy goniące zająca. Tak uciekający szarak jak i goniące psy zginęły od strzałów.

Polowania obydwa, wzorowo prowadzone, miały ten urok, że się wciąż widziało zwierzynę, chcącą się dostać za żywy pierścień nagonki i myśliwych i ginącą od strzałów. — Wieczory spędziliśmy bardzo przyjemnie w domach gospodarzy przy ożywionej pogadance i wincie, w którym nieraz grający rulował więcej razy, niż w dzień strzelana zwierzyna.

Stan zwierzyny podnosi się z każdym rokiem, a podniósłby się o wiele więcej, gdyby nie kłusownicy, którzy wybijają i wyłapują zwierzynę do tego stopnia, że obok w sąsiedztwie na polowaniu w 8 strzelb zginął 1 zając, a mieliśmy jeden miot polny, gdzie ani jednego zająca nie było.

Teofil Żurowski.

— W dobrach Krukienice ubito w ciągu r. 1894: lisów 11, jastrzębi 18, wron 26, srok 29, sowy 2, dzików 4, rogaczy 20, zajęcy 41, jelenia 1, kaczek 34, kszyków 228, kulików 29, chruścieli 129, przepiórek 34, słonek 17, kuropatw 30. Razem 653.

Rok ten tak dla zwierzyny jak i dla ptactwa był niekorzystnym. Ciągłe słoty wyniszczyły gniazda koropatw, kaczek i inne ptactwo. Sarny młode wyginęły w połowie; znachodzone ciągle maleńkie nieżywe Nawet lisy wynosiły z nór swoje młode; raz znaleziono młode lisięta pod drzewem nad jamami. *Jan Ostrzechowski.*

— W Przeworsku, u ks. Andrzeja Lubomirskiego, polowalimy w dziesięć strzelb w dniach 5go 6go i 7go grudnia. Świetny rezultat tych trzech dni przesyłam czytelnikom „Łowca". Pierwszego dnia polowaliśmy w lesie „Wesoła" padło: 48 zajęcy, 4 rogacze, 2 lisy a jako *curiosum* dodam, że strzelano do słonki. Drugiego dnia czysto polne nagonki „Dębów" i „Białoboki" dały jako rezultat 219 zajęcy i 3 kuropatwy. Trzeciego zaś dnia wzięliśmy także wyłącznie na polach dwa „sztrajfy" nagonki, w których myśliwi w oznaczonym kierunku posuwają się przedzieleni naganiaczami wraz z flankami, i na rozkładzie mieliśmy przy zachodzącem słońcu 320 zajęcy i 13 kuropatw. Wynik zatem ogólny: 2 lisy 4 rogacze, 587 zajęcy, 13 kuropatw, razem 606 sztuk, miłem będzie wspomnieniem do przyszłego roku dla każdego z uczestników, którzy polując już od kilku lat w Przeworsku, stwierdzić muszą nadzwyczajny przyrost zwierzyny i świetne a umiejętne choć nieraz w bardzo trudnych warunkach prowadzenie przez samego gospodarza polnych nagonek.

St. Szembek.

Z Królestwa Polskiego.

— W Jabłonnie, u hr. Augusta Potockiego, odbyło się trzydniowe polowanie w d. 5, 6 i 7 grudnia. W 13 strzelb ubito 5 rogaczy, 769 zajęcy, 2 bażanty, 2 cietrzewie, i 22 kuropatw.

— W dobrach Kruszyna, ks. Józefa Lubomirskiego, odbyły się trzydniowe łowy, w d. 7, 10 i 12 grudnia. Czynne były dwie naganki, każda po 300 ludzi. Udział w łowach przyjęli: hr. Ksawery Branicki, ks. ks. Stefan, Zdzisław i Władysław Lubomirscy, hr. Maurycy Zamoyski, p. Adam Michalski, p. Jan Sztoleman, ks. Jerzy Radziwiłł i p. Jan Siemiński. Pierwszego dnia robiono kotły w polu, w drugim dniu zrobiono 2 kotły i 9 miotów w lesie, w trzecim polowano wyłącznie w lesie. W pierwszym dniu polowano w 6 strzelb i zabito 391 zajęcy, 36 kuropatw; drugiego dnia w 7 strzelb zabito 356 zajęcy, 13 kuropatw i 1 cietrzewia; trzeciego dnia w 8 strzelb ubito 269 zajęcy, 6 kuropatw i 10 cietrzewi. Rezultat więc trzydniowego polowania jest następujący: 1.016 zajęcy, 55 kuropatw i 11 cietrzewi, czyli razem 1.082 sztuk. Największą ilość sztuk jednego dnia zabił hr. Ksawery Branicki: 100 zajęcy i 10 kuropatw; najwięcej zaś w ciągu całych łowów zabił p. Jan Sztoleman, 193 zajęcy i 10 kuropatw.

— W dobrach Wilanowskich odbyły się polowania w dniu 27., 28 i 29. grudnia. Pierwszego dnia w Zalesiu w 4 miotach zabito: 82 zające i 2 lisy; w drugim dniu w parku Natolińskim w 6 strzelb zabito 143 bażanty, 27 zajęcy i jastrzębia; w trzecim dniu w 12 strzelb w lesie Kabackim ubito 394 zające, 2 lisy, 2 kuropatwy i 2 jastrzębie. Do rogaczy nie strzelano wcale. Brak mrozu i silny wiatr utrudniały polowanie.

W Skempem (w pow. lipnowskim) u pp. Zielińskich w dniu 10, 11 i 12. grudnia odbyło się polowanie, na którem w 12 strzelb ubito 865 zajęcy, 19 kozłów, 4 lisy i 12 kuropatw. Najwięcej zabił hr. August Potocki (130 sztuk), następnie p. M. Mielżyński (100 sztuk) i hr. Gustaw Łubieński (81 sztuk).

— W Helenowie, w okolicach Warszawy, w majątku hr. Jakóba Potockiego, odbyło się polowanie 22. i 23 listopada. Dnia pierwszego polowano z kotłem i zabito 33 zające, na drugi dzień padło, tak w polu, jak i lesie 78 zajęcy. Dzięki troskliwości właściciela zwierzostan poprawia się.

— W Starej Wsi, u hr. K. Krasińskiego, w dniu 29 listopada w 12 strzelb zabito 108 zajęcy, 2 rogacze, 2 lisy, cietrzewia, 12 kuropatw i jastrzębia. Było w kniei także 7 dzików, ale wyniosły się bokiem, nie wyszedłszy na linię strzelców.

— W Radziejowicach, u hr. Józefa Krasińskiego na trzydniowem polowaniu, 17. 18. i 19. grudnia, w 14 strzelb zabito: 568 zajęcy, 14 rogaczy, lisa, 36 kuropatw i 3 cietrzewie.

— W Gosłowicach (w pow. konińskim) u hr. Kwileckiego, na polowaniu odbytem dnia 12. i 13. grudnia w 16 strzelb zabito: na Gosławicach i Piętnowie 181 zajęcy, 2 lisy i rogacza, a na Górach 329 zajęcy i lisa. Razem padło: 510 zajęcy, 3 lisy i rogacz.

W Brzeziu i Wieńcu, u p. L. Kronenberga, w d. 14 i 15. grudn. w 12 strzelb ubito 629 zajęcy i 67 kuropatw.

— W Domaradzynie (w pow. łowickim) u p. Władysława Piędzickiego w dniu 15. grudnia polowano w 9 strzelb i w 3 miotach w lesie oraz w 7 kotłach w polu ubito pomimo zadymki: 7 kozłów, 75 zajęcy, lisa i 2 kuropatwy.

— W Lućmierzu, w lasach należących do Tow. akc. „Lućmierz“, w dniu 15. grudnia ubito 152 zające, rogacza i lisa.

— W Siomkowicach (w pow. wieluńskim) u p. Ignacego Kurznickiego, w dniu 17. grudnia, 14. myśliwych zabiło w 9. miotach: 65 zajęcy, 9 kuropatw i cietrzewia.

— W Strzelcach u hr. Treskowa w dniu 17. grudnia zabito w polu 125 zajęcy i 18 kuropatw.

— W Szpethalu, w pow. lipnowskim, u p. Rutkowskiego dnia 28. listopada odbyło się polowanie, na którem ubito 250 zajęcy, 4 lisy i 2 wałęsające się psy.

— W Zborowie, w pow. stopnickim, u p. A. Walchnowskiego, d. 26. listopada w 10 strzelb zabito 81 zajęcy i 2 kuropatwy.

— W Nizinach, u p. Walchnowskiego w dniu 17. grudnia w 10. strzelb zabito 68 zajęcy.

— W Mierzynie, w pow. piotrkowskim, w dniu 1. grudnia w 20 strzelb zabito 186 zajęcy, 14 kuropatw i 2 rogacze.

— W Kurozwękach u p. Pawła Popiela w dniu 18. grudnia w 11. strzelb padło 86 zajęcy.

— W Marchwaczu, u p. Wacława Niemojowskiego, odbyło się w dn. 17 i 18. grudnia dwudniowe polowanie, na którem w 12. strzelb zabito w lesie i na polu 300 zajęcy, rogacza i lisa.

— W Uniejowie, u hr. Tolla, w dniu 17. 18. i 19. grudnia w 13. strzelb ubito 4 kozły, 6 lisów, 237 zajęcy, 10 kuropatw, 3 bażanty i cietrzewia.

— W Kobielach Wielkich, (w pow. noworadomskim) u pana Kazimierza Tymowskiego, w dniu 19. i 20. grudnia, w 18. strzelb zabito 256 zajęcy, 5 kuropatw, cietrzewia i rogacza.

— W Bolimowie u hr. Sobańskiego, w dniu 22. grudnia w leśnictwie Modrzew zabito: 123 zające, rogacza, bażanta i 3 cietrzewie (kury).

— W Zagorzynie u p. Bolesława Morawskiego, odbyło się dnia 21. grudnia polowanie w pięciu kotłach; zabito 154 zające i 5 kuropatw.

— W Masłowicach (w pow. wieluńskim) u p. Kazimierza Kręskiego w dniu 27 b. m. w 3 kotłach i 4 miotach w 19 strzelb ubito: 154 zające i 14 kuropatw. Wskutek odwilży i zalania części lasu polowanie było bardzo utrudnione.

— W Parzymiechach, (w gub. kieleckiej) u hr. Władysława Potockiego odbyło się w dn. 11. i 12. grudnia w 14. strzelb polowanie w polu i w kniei. Ubito lisa, 2 rogacze, 511 zajęcy, 2 króliki, 46 kuropatw, 56 bażantow, 2 cietrzewie i 2 sowy.

— W Popkowicach (w Lubelskiem) na polowaniu w 7 strzelb 3. listopada ubito 2 rogacze, 2 lisy, 45 zajęcy, 8 kuropatw i 6 gołębi.

— W Kijanach (w Lubelskiem) odbyło się dnia 3. grudnia polowanie w 15 strzelb, na którem padło 6 lisów, 82 zajęcy i cietrzew.

— W Woli Blokowej (w pow. noworadomskim) u p. Andrzeja Biesiekierskiego, na polowaniu, odbytem dnia 3. grudnia w 38 strzelb, ubito w czterech kotłach 67 zajęcy i 7 kuropatw.

— W Stobiecku Szlacheckim (w pow. noworadomskim) u p. Józefa Wierzchlejskiego, 42 myśliwych w dniu 4. grud. zabiło 112 zajęcy, 12. kuropatw i 2 wałęsające się psy.

— W Klimontowie (w pow. sandomierskim) u p. Włodzimierza Karskiego, odbyło się w dniu 10. grudnia polowanie, na którem padło 12 kozłów, 159 zajęcy. 2 lisy i puhacz.

— W Rudzie (w pow. wieluńskim) u p. Gustawa Taczanowskiego, w dniu 10. grudnia, 19 myśliwych ubiło w 3 kotłach i 4 miotach: 212 zajęcy, 7 kuropatw, 2 lisy i jastrzębia.

— W Dyblinie (w pow. lipnowskim) u p. Jana Pruskiego, odbyło się w dniu 10. grudnia polowanie w 14. strzelb, na którem zabito 251 zajęcy i 4 kuropatwy.

— We wsi Garnek (w pow. noworadomskim) u p. Henryka Moraczewskiego w dniu 10. i 11. grudnia w 14 strzelb zabito: 441 zajęcy, 7 rogaczy, 16 kuropatw, 4 cietrzewie i 2 lisy.

KRONIKA.

Cietrzewie dla cesarza. Nadworny łowczy w Gödöllö, p. Pettera, otrzymał za ostatniej bytności cesarzowej w tej letniej rezydencyi cesarstwa na Węgrzech polecenie, ażeby się postarał o cietrzewie w kniejach tamtejszych i zrobił niemi cesarzowi niespodziankę. Nie było to łatwe zadanie, lecz przecież wywiązał się z niego p. Pettera. Za pośrednictwem wiedeńskiego handlu zwierzyny K. Gudery, złowiono w Norwegii w lasach nad sławnemi wodospadami Trollhütta, 3 koguty cietrzewie i 10 cieciorek i w połowie grudnia wysłano je na Christianię do Wiednia, gdzie po ośmiu dniach, d. 19. grudnia, zdrowo i cało przybyły. P. Gudera wysłał je natychmiast osobnym wagonem kolejowym do Gödöllö, gdzie zostaną w kniei na wolną rozmnożę wypuszczone.

Chruściela, zdrowego, niezbarczonego, choć niesłychanie chudego, zabito na polowaniu d. 10. grudnia w Zarudźcach niedaleko Lwowa. Tak spóźnionego pasażera w podróży na południe chyba jeszcze nie było.

Pelikan w niewoli. W drugiej połowie września z. r., w czasie, gdy się pelikany w różnych miejscowościach wschodniej Galicyi pojawiły, zapadło także stado złożone z 28 sztuk pelikanów na Czeremoszu pod Rybnem, w powiecie kosowskim. Jakiemuś Nemrodowi włościańskiemu z powiązaną flintą, udało się podkraść pod to czujne zresztą stadko, i gdy wygarnął, trzy sztuki zostały na miejscu. Pokazało się wszakże, iż tylko jeden pelikan był na śmierć zabity, dwa inne zaś tylko lekko zbarczone. Jednego z postrzelonych zatrzymał dzierżawca miejscowego polowania i chciał go wyleczyć, ale mu się sztuka nie udała; pelikan po kilku dniach przeniósł się do wieczności. Drugiego mniej rannego, zabrał patrolujący żandarm i zaniósł do koszar. Tutaj zabrano się troskliwie do przemywania rany karbolową wodą i do odżywiania pacyenta mięsem, tak, że pelikan wkrótce wyzdrowiał i został więźniem c. k. żandarmeryi w Kutach. Obecnie przechadza się pelikan po podwórzu żandarmskich koszar, zapoznał się ze swymi opiekunami i w ogóle wszystkimi mieszkańcami koszar, i jak dotychczas, nie robi żadnych usiłowań ucieczki. Czy i jak przebędzie zimę, to się dopiero pokaże; kto wie czy mu erarialny koc wojskowy zastąpi wybrzeża afrykańskie.

25 kozłów ubił w jednym dniu arcyks. Franciszek Ferdynand d'Este, polując ubiegłej jesieni w Frauenbergu, dobrach ks. Schwarcenbergów.

Oswojone wilki. Arcyksiąże Franciszek Ferdynand d'Este otrzymał niezwykły prezent. Oto w połowie listopada z. r. przybyły na stacyę do Budziejowic dwa duże ułaskawione wilki, które mu przysłało grono oficerów batalionu 75 p. p. garnizującego w Castelnuovo w Dalmacyi. Wilki są tak łaskawe, że jeden żołnierz zaprowadził je jak dobrze tresowane psy na łańcuszku z dworca do miasta, a przechodnie głaskali je bez obawy.

Łosie w Prusach zachodnich. W znanym rewirze łosi, Ybenhorst, położonym nad zatoką Kurońską, zmniejsza się z każdym rokiem stan tego szlachetnego zwierza. Ubiegłego lata sprawdzono 90 sztuk. D. 15. października z. r. ubił dr. Tucher z Berlina dużego byka. Drugą sztukę, która widocznie knieję Ybenhorstu porzuciła, ubito d. 14. października niedaleko Królewca.

Rzadkość niezwykłą, sarnę z czworgiem młodych, tj. z dwoma koziołkami i dwoma siutkami, zauważano ubiegłej jesieni w Paterwicach na pruskim Szląsku. Jeden z robotników leśnych chwycił koziołka z tej gromadki i chciał go unieść — ale się przerachował. Na pisk koziołka tak odważnie napadła siuta robotnika, że musiał jej synka puścić i sam dać drapaka.

Szczególny wabik. W jednym z rewirów Lasu czeskiego wydarzył się w październiku r. z. szczególny wypadek. Drożyną szedł chłop i popychał przed sobą taczki, u których nienasmarowane koło piszczało, przypominając pisk siuty. Obok szedł leśniczy dworski Kralik, ze strzelbą na ramieniu. Naraz ku taczkom wyskoczył z zarośli kozioł i padł pod strzałem przytomnego leśniczego. Widocznie zwabił go pisk taczek, naśladujący mimowoli piszczenie wabiącej kozy.

Olbrzymi jeleń. Koło Fredericksburgu w Texas ubił p. Edward Dosch jelenia wirginijskiego z wieńcem olbrzymim, liczącym 71 końców. Najsłabsze i nie dość rozwinięte są końce górne, tworzące właściwą koronę, lecz siła tyk i dolnych końców i w ogóle potężna budowa rogów wskazuje, że ubity jeleń, aczkolwiek wiekowy, nie był jeszcze u schyłku swego życia, skoro tak silne rogi mógł z siebie wytworzyć. Bogate rozgałęzienie tej korony przypomina rogi kopalnego *Cervus Sedgwicki*.

Niezwykły penitent. W gminie Weissbach na Szląsku naprawiano kościół, na czas reparacyi zatem przekształcono starą owczarnię na świątynię i odprawiano w niej nabożeństwa. Pewnego dnia, w czasie mszy porannej, zakradł się do tego improwizowanego kościoła lis, wlazł prosto do konfesyonału i do końca mszy tam pozostał. Dopiero po mszy wypłoszono go i ubito za kościołem.

Epidemia na bażanty. W rozmaitych zwierzyńcach Anglii wybuchła bardzo złośliwa epidemia między bażantami. Zarażona sztuka wydaje się na pozór zupełnie zdrową, lecz niebawem wyciąga skrzydła, zatacza się w chodzie i po kilku minutach pada nieżywa. Bliższe badania wykazały, że ma się tu do czynienia z tak zaraźliwą chorobą, iż chcąc nie dopuścić do zupełnego zniszczenia bażantarni, trzeba zdrowe jeszcze ptaki chwytać i daleko wywozić, a padłe sztuki palić, bo zagrzebane nasycają ziemię na około chorobowemi zarazkami.

Rewiry rybackie. Porządek w organizowaniu nowo utworzonych rewirów rybackich na rzekach, przepisanym był jak następuje:

1) Soła, 2) Skawa, 3) Raba, 4) Dunajec, 5) Wisła, 6) Bug, 7) Stryj. Obecnie materyał ten wyczerpano i ukończono czynności przygotowawcze na powyższych siedmiu dorzeczach, a w dalszem tworzeniu rewirów wyznaczyło Namiestnictwo następujący porządek: 8) Prut z Czeremoszem, 9) San z Wisłokiem, 10) Wisłoka, 11) Dniestr ze Strwiążem i Bystrzycą, 12) Styr, 13) Świeca, 14) Łomnica, 15) Bystrzyca złota i czarna, 16) Gniła Lipa, 17) Złota Lipa, 18) Strypa, 19) Seret, 20) Zbrucz. W tym porządku postępować będzie organizacya rewirów rybackich, stosownie do wartości rybackiej rzek i miejscowych stosunków. Prace przygotowawcze dla Prutu i Czeremoszu rozpoczną się niebawem.

Sum w stawie. Czytamy w „Okólniku" kraj. Towarzystwa rybackiego: „Jak dalece „dzikiemi" są dzikie stawy wschodniej Galicyi, dowodzi najlepiej wypadek, jaki się wydarzył przed kilkoma tygodniami jednemu z właścicieli stawów nad Seretem. Z końcem listopada spuszczono staw, przeszło 100 morgów obszaru mający i wydzierżawiany co trzy lata za ogólną kwotę 1600 złr. Po częściowem opuszczeniu zwierciadła wody i troskliwem wyłowieniu, zdobyto niespełna 4 cetnary ryb, przeważnie płoci, okoni i karasi, a obok tego 23 duże szczupaki i ogromnego suma. Potwór ten dostał się prawdopodobnie z Dniestru przez Seret do stawu podczas większej wody, a znalazłszy tam obfite pożywienie, gospodarował dwa albo trzy lata i wytuczył się kosztem innych ryb do wagi przeszło 2 cetnarów. Cena jego wobec wartości ryb, które pożarł przez ten czas, trudna do obliczenia; w każdym razie przedstawia wartość około 1000 złr."

Poeta w lwiej klatce. We Florencyi założył się dziennikarz Polazzi, że wejdzie do lwiej klatki. Dnia 29. listopada wieczorem w towarzystwie pogromcy zjawił się istotnie Polazzi w klatce, zaimprowizował na zadany temat cztery wierszyki, poczem opuścił klatkę, której lokatorzy nie bardzo spokojnie się zachowywali. Publiczność z początku odrętwiała, dopiero potem obdarzyła odważnego dziennikarza oklaskami.

Zwierzyna w restauracyach. Pomimo surowych kar i ścisłego dozoru, kłusownictwo i bicie zwierzyny w zabronionym czasie istnieje również dobrze na Zachodzie, jak i u nas.

Dzienniki francuskie domagają się, aby restauratorzy byli karani za podawanie gościom zwierzyny w czasie wzbronionym. P. Mace, były znany naczelnik policyi paryskiej, utrzymywał, że łatwiej rozciągnąć nadzór nad targami, przekupniami, niż nad wykwintnemi zakładami restauracyjnemi, które mogą mieć rozgałęzione stosunki po kraju z dostawcami, niezawsze legalnymi i mogą otrzymać różne zamknięte przesyłki kolejami żelaznemi, a nawet żywą zwierzynę.

Opowiadają, że do pewnego renomowanego „café restaurant" w Paryżu zjawił się tego lata modnie ubrany „gentleman" i prosił o podanie mu na pieczyste kuropatwy.

Pod koniec obiadu, urozmaiconego przeróżnemi winami, „gentleman" polecił garsonowi, aby mu podano jeszcze jedną kuropatwę, którą ze sobą zabierze, mając na widoku dłuższą podróż koleją żelazną.

Gdy przy kawie i koniaku kuropatwę przyniesiono, „gentleman" raptem zmienił ton mowy i oznajmił, że jest tajnym agentem policyi i... na miejscu został spisany protokolik o podawaniu zwierzyny w zabronionym czasie, a kuropatwa, owinięta w papier, posłużyła jako „corpus delicti".

W redakcyi afrykańskiej. Jeden z niemieckich podróżników tak opisuje odwiedziny swoje w redakcyi pewnego arabskiego pisma w Tangerze.

„Stanąłem z moim tłumaczem przed lokalem redakcyjnym. Redakcya, ekspedycya i przyrząd do drukowania, reprezentowany przez małą prasę ręczną, mieszczą się tu w jednej małej ciupce wyścielonej matami. Przedstawiono mnie najprzód ekspedycyi w postacie grubego kudłatego Araba. Prosi mnie siedzieć. Ale gdzie? Krzesła nie ma nigdzie ani śladu. A więc, prawdziwie po arabsku, siadam na ziemi, skrzyżowawszy nogi pod sobą. Naczelny redaktor, okryty białym burnusem, w turbanie na głowie, leży także na macie. Przed nim stoi maleńki pulcik. Zajęty jest pisaniem artykułu wstępnego, gryzmoląc go prawdziwie arabskiemi arabeskami od prawej ręki ku lewej na siwym papierze. Czasem zatapia ponury wzrok w powietrzu, lub szybkim ruchem wsadza lewą rękę pod turban i skrobie się — poczem pióro skrzypi dalej, a oczy błyszczą namiętnie. Widocznie rozkoszuje się, dając jakiemuś sułtanowi dobre rady, lub wymyślając dzikim narodom jak Angielczykom, Frankom, Włochom, Niemcom, i innym barbarzyńcom.

„Około mnie na ziemi leży pokotem mnóstwo kur i przepiórek ze związanemi nóżkami. Jestto kasa ekspedycyi i należytość uiszczona za inseraty.

„Naczelny redaktor pisze i pisze. Ekspedytor objaśnia mnie pod sekretem, że teraz nie rodzi się artykuł o polityce zewnętrznej, lecz siarczysta filipika opozycyjna przeciwko baszy Tangeru. Wtem piękny tok myśli redaktora przerywa nagłe pojawienie się nowej osoby. Jestto Arab o kabłąkowatych, chudych nogach, który wpadł z tłustym kogutem w ręku. I w tej chwili rozpoczyna się krzykliwa debata, w której redakcya, ekspedycya i drukarnia naraz biorą udział.

— Czy mu dać gazetę na dwa czy na trzy tygodnie za tego kuraka? — pyta ekspedytor.

Naczelny redaktor maca koguta i mierzy go okiem znawcy.

— No, no, trzy tygodnie! — decyduje z uśmiechem zadowolenia.

I tak prenumerata jest uiszczona, chudy Arab zmyka, a kogut maszeruje do jednego szeregu z powiązanemi kurami i przepiórkami."





Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.